Lwów, Niedziela dnia 6. Kwietnia 1879 r.

TYDZIEŃ POLSKI.

Nr. 10.

PRENUMERATA we LWOWIE
Rocznie 14 złr. półrocznie 7 złr. kwartalnie 3 złr. 50 cnt.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 17 złr. 60 cnt. półrocznie 8 złr. 80 cnt. kwartalnie 4 złr. 40 cnt.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA:
KSIĘGARNIA POLSKA.
L. 14 plac halicki.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni J. K. Żupańskiego w POZNANIU. PRENUMERATA w POZNANIU: Kwartalnie 7 m. z przesyłką 8 m. 50 f.
We Francji, Anglji, Ameryce itd. kwartalnie 10 franków.
W Krakowie skład główny w Księgarni S. A. Krzyżanowskiego.

DZIAŁANIE I ODDZIAŁYWANIE.

Istnieje w przyrodzie prawo najogólniejsze, zwane w mechanice prawem działania i oddziaływania. Popchniemy ręką stół, wywrzemy nań pewne ciśnienie, a stół cisnąć będzie rękę z tąż samą siłą. Gdy koń wóz ciągnie, to wóz stawia opór równy sile, której koń na ciągnienie używa. Im silniej ręką o ścianę uderzymy, tem silniej odczujemy sami to uderzenie. Ba, bijąc bardzo mocno rękę skaleczyć można, a chcąc głową mur przebić, można się narazić na zdruzgotanie czaszki przez oddziaływanie mechaniczne muru.

Przykładom tego rodzaju nie masz końca. Jest to prawo ogólne, bezwyjątkowe, wieczne, rządzące również ciałami martwemi, jak i ożywionemi, kamieniem jak człowiekiem, układem światów, jak społeczeństwem ludzkiem. Historja daje tego niezliczone dowody, a dzisiejszy gwałtowny i gorączkowy ruch społeczny i jego ewolucje, dostarczają najwybitniejszych przykładów. Gdzie jedna część społeczeństwa działa na drugą, tam jest i oddziaływanie tej ostatniej. Gdzie akcja, tam i reakcja i to tem silniejsza im akcja silniejsza. Powtarza się to z matematyczną ścisłością i najdokładniejszem stopniowaniem w ogólnych zarysach. Gdzie jest prawne działanie, tam i prawne oddziaływanie. Gdzie w działaniu bezprawie, tam i w oddziaływaniu nie masz prawa. Na dłoń wyciągniętą szczerze do zgody odpowiada się zwykle wyciągnieniem dłoni, na mord, mordem. Ze stanowiska etycznego, w naszych czasach niemojżeszowych, może to niepiękne i niegrzeczne; lecz w rzeczywistości, nieuniknione. Prawo przyrody jest silniejsze niż zasady wszelkich katechizmów moralności. Człowiek jako jednostka, może niemi się rządzić, społeczeństwa całe, w ogólnych zarysach rządzą się prawami ogólnemi przyrody.

Żyjemy w epoce historycznej pełnej interesu, w epoce przejściowej, jesteśmy świadkami walki pomiędzy rządzonymi a rządzącymi, rozgrywającej się w najrozmaitszych formach i rozmiarach. Jedna część społeczeństwa walczy przeciw drugiej, jedna działa na drugą z równą siłą; gdzie silny ucisk tam i silny opór powstaje. Rzućmy okiem na ruch socjalny. Na zachodzie, gdzie do walki z socjalizmem staje rząd konstytucyjny, tam i opór jest konstytucyjny, z nielicznemi wyjątkami nie stanowiącemi reguły. Jako przeciwstawienie do istniejącego porządku państwowego, wyrobili sobie socjaliści ideał państwa organicznie zbudowanego, a może nawet silniej jeszcze zorganizowanego, niż to, przeciw któremu walczą. Wybryki należą do wyjątków.

Inny kraniec Rosja. Tam despotyzm u góry rzucający się z dzikością zwierza nie tylko na ruch socjalny, lecz i na wszystko co pragnie swobody. My, Polacy, dobrze to wiemy. To też i dziką otrzymują tam odpowiedź. Rząd nie przebiera środków i bezprawie piętrzy na bezprawiu; a i rewolucjoniści nad środkami się nie namyślają. Rząd rozstrzeliwa na wyrok doraźny sądów wojennych w czasie pokoju i rewolucjoniści strzelają wedle wyroków swoich sądów, także samowolnie ustanowionych. Jedni mordują, i drudzy mordują. Na mord — mord; na rzeź — rzeź.

Rząd oficjalny egzystuje bez woli narodu, bez jego sankcji, — i rewolucjoniści nie są jego wybrańcami. Policja gończa rządowa silnie jest zorganizowaną. Silną jest i policja podziemna. Gońce trzeciego oddziału nie mają litości, i wykonawcy wyroków sądów tajemnych znać jej niechcą.

Gdy na Zachodzie ideał socjalizmu obraca się około systematycznego zorganizowania państwa, aż do najdrobniejszych szczegółów, w Rosji ideałem rewolucjonistów jest zupełna anarchja, swoboda jednostek bez granic, rozwiązanie wszystkich umów społecznych.

Wszędzie, na całym świecie powtarzają się jedne i te same skutki prawa działania i oddziaływania. Nie potrzebujemy daleko szukać przykładów. Smutne wypadki krakowskie świadczą nam o tem najlepiej. W mieście uznanem za siedlisko ultramontanizmu, dewocji i wstecznictwa, socjalizm zaczął podnosić głowę i przyszło do przykrej kolizji. A nie od dziś widzimy tam te kontrasta. Zestawmy tylko sprawę Gilewskiego, i jego pogrzeb cywilny z owemi procesjami po mieście w średniowiecznych ubiorach, zamieszki wywołane z powodu Barbary Ubryk i t. p. Lecz to sprawy nasze domowe, i na szczęście rozmiary ich są bardzo skromne. Nie na naszym gruncie pole do walk tego rodzaju. Widowisko to wcale nie pożądane. W sprawie przewrotów społecznych my mamy szczęśliwe stanowisko spektatorów, a najciekawszą areną jest ziemia Rosji, gdzie starcie na ostre się rozpoczęło. Na arenę tę występują do walki, jakby za rzymskich czasów dzikie zwierzęta, które się nam dały we znaki, u nas, na naszej ziemi, i barbarzyńscy gladjatorowie noszący na tarczy hasło programowe: *strzelać!* My z spokojem tej walce przypatrywać się możemy, niemasz dla nas obawy, od areny odgrodzeni jesteśmy wysokim murem naszych tendencji narodowych. Z walki odbieramy emocję teatralnego rodzaju. Zwierzęta rzucają się z przyzwyczajenia zajadle a i gladjatorowie walczą z odwagą rozpaczy. Dla jednej i dla drugiej strony rozgrywa się o: być albo nie być.

Przeciw sobie stoją dwa przeciwne bieguny. Niktby nie zdołał wybrać dwóch takich przeciwieństw. Z jednej strony bezgraniczny despotyzm i tyranja, z drugiej bezgraniczna anarchja.

Jedni powiadają: „ręka władzy carskiej dosięgnie was wszędzie, was i wasze rodziny, bezlitośnie, bez przebaczenia, i śladu po was nie zostanie. Zdacie nam wszędzie sprawę."

To jest działanie.

Drudzy odpowiadają: „Wszędzie dosięgnie ręka nasza wysłańców cara i zdać nam muszą sprawę wszędzie, w domu i na ulicy, w łożu i powozie, te krwiożercze psy despotyzmu."

To jest oddziaływanie.

HANIA.

Powieść

LITWOSA.

X.

(Ciąg dalszy.)

O szóstej rano następnego dnia byłem u kopców, gdzie Selim czekał już na mnie. Jadąc tam dałem sobie uroczyste słowo, że będę spokojny.

— Co mi chciałeś powiedzieć? — spytał Selim.

— Chciałem ci powiedzieć, że wiem wszystko. Kochasz Hanię, a ona ciebie — Mirzo! postąpiłeś sobie niegodnie usidlając serce Hani. To ci przedewszystkiem chciałem powiedzieć.

Selim pobladł, ale wzburzyło się w nim wszystko. Najechał na mnie tak, że konie nasze prawie wsparły się o siebie, i spytał:

— Dlaczego? dlaczego? Rachuj się ze słowami.

— Po pierwsze dlatego, żeś ty muzułmanin a ona chrześcjanka; nie możesz się z nią żenić.

— Zmienię religję.

— Ojciec ci nie pozwoli.

— O! on pozwoli, a wreszcie...

— Wreszcie są i inne przeszkody. Choćbyś zmienił religję, ani ja, ani mój ojciec, nie damy ci Hani nigdy i przenigdy! Rozumiesz?

Mirza pochylił się ku mnie z siodła i odparł, kładąc przycisk na każdą zgłoskę:

— Ja się o was nie będę pytał! Rozumiesz ty z kolei?

Byłem jeszcze spokojny, bo wiadomość o wyjeździe Hani chowałem na ostatek.

— Nietylko, że ona nie będzie twoją — odpowiedziałem chłodno i z równym naciskiem — ale nie będziesz jej więcej widział. Wiem, że chciałeś posyłać listy; oświadczam, że będę pilnował, i za pierwszym razem każę dać twemu posłańcowi rózgi. Sam nie będziesz przyjeżdżał więcej do nas. Zabraniam ci!

— Zobaczymy! —odparł dysząc z gniewu.

— Z kolei pozwól mnie mówić. Nie ja, ale ty postępujesz niegodnie. Teraz widzę jasno. Jam cię pytał, czy jej nie kochasz? odpowiedziałeś: nie! Chciałem się cofnąć póki był czas — odrzuciłeś ofiarę. Kto winien? Kłamałeś, żeś jej nie kochał. Przez miłość własną, przez dumę egoistyczną wstydziłeś się wyznać, że kochasz. Kochałeś się pociemku, ja w świetle. Kochałeś się skrycie—ja otwarcie. Ty trułeś jej życie, jam starał się ją uszczęśliwić. Kto winien? Byłbym się cofnął! Bóg widzi, byłbym się cofnął! Ale dziś już zapóźno. Dziś ona mnie kocha, i słuchaj co ci powiem: możecie mi zabronić bywać w waszym domu — możecie przejmować moje listy, przysięgam wam jednak, że Hani się nie zrzeknę, że jej nie zapomnę, że wiecznie ją będę kochał, wszędzie odszukam. Ja postępuję poprostu i uczciwie, ale kocham, kocham nad wszystko na świecie i cały żyję w tem i umarłbym bez tego. Ja nie chcę wnosić nieszczęścia w wasz dom, ale pamiętaj, że jest we mnie teraz coś takiego, czego ja sam się lękam. Jam gotów na wszystko. O! jeśli wy krzywdę wyrządzicie Hani...

Mówił to wszystko pospiesznie, blady i z zaciśniętemi ustami. Miłość potężna owładła tą ognistą, wschodnią naturą, i biła od niej jak żar od płomienia; ale ja nie uważałem na to, i odpowiedziałem z zimną i chłodną stanowczością:

— Nie przyjechałem słuchać twych zwierzeń. Z gróźb drwię sobie, i powtarzam ci jeszcze raz: Hania nigdy nie będzie twoją.

— Słuchaj jeszcze — rzekł Selim — jak i ile Hanię kocham, nie próbuję mówić, bo ja nie umiałbym wypowiedzieć, a ty zrozumieć. Przysięgam ci jednak, że pomimo całej miłości, gdyby ona ciebie kochała — jeszczebym znalazł w duszy tyle szlachetnych uczuć, żeby zrzec się jej na zawsze. Henryku, przecież nam o nią chodzić winno! Tyś był zawsze szlachetny. Słuchaj więc: zrzeknij się jej, a potem żądaj odemnie choć życia. Oto moja ręka Henryku! O Hanię chodzi, o Hanię, pamiętaj!

I wychylił się ku mnie z otwartemi ramionami, ale ja cofnąłem konia.

— Troskę o nią zostaw mnie i ojcu memu. Jużeśmy o niej myśleli. Mam honor oświadczyć ci, że Hania pojutrze wyjeżdża za granicę — i że jej więcej nie zobaczysz. A teraz żegnam.

— Aa! jeśli tak, więc zobaczymy!

— Zobaczymy.

Zawróciłem konia i pojechałem do domu, nie oglądając się po za siebie.

Ponuro było w naszym domu przez te dwa dni, pozostające do wyjazdu Hani. Pani d'Yves z siostrami wyjechała zaraz na drugi dzień, po owej rozmowie z ojcem. Zostałem tylko ja, ojciec, ksiądz Ludwik i Hania. Biedaczka wiedziała już, że ma odjechać, i wiadomość o tem przyjęła z rozpaczą. Widocznie pragnęła we mnie szukać ratunku i ostatniej deski zbawienia, ale ja domyślając się tego, starałem się, ażeby nie zostać z nią ani przez chwilę sam na sam. Znałem siebie dostatecznie i wiedziałem, że łzami zrobi ze mną wszystko co zechce, i że nie potrafię jej nic odmówić. Unikałem nawet jej wzroku, bo nie mogłem znieść tej jakby prośby o litość, która malowała się w nim, ilekroć patrzyła na mnie lub na ojca. Z drugiej strony, choćbym nawet i chciał wstawić się za nią do ojca, wiedziałem, że na nićby się to nie przydało, bo ojciec nigdy nie zmieniał tego, co raz postanowił. A przytem jeszcze i wstyd jakiś trzymał mnie od Hani z daleka. Wstydziłem się przed nią ostatniej rozmowy z Mirzą, i tej surowości niedawnej i całej mojej roli i tego wreszcie, że nie zbliżając się do niej, śledziłem ją jednak z daleka. Ale miałem powody ją śledzić. Wiedziałem, że Mirza krąży, jak ptak drapieżny, dzień i noc około naszego domu; zaraz na drugi dzień po rozmowie ujrzałem, że Hania chowała z pospiechem karteczkę zapisanego papieru, niezawodnie list od niego. Domyślałem się nawet, że może i widzieć się będą z sobą, ale jakkolwiek czatowałem szarą godziną na Selima, nie mogłem go jednak złapać. Tymczasem dwa dni przeminęły szybko, jak strzała w powietrzu. Przed wieczorem dnia tego, w którym Hania miała odjechać na noc do Ustrzycy, ojciec pojechał do miasta na jarmark za kupnem koni i Kazia wziął dla próbowania ich ze sobą, Hanię zaś, mieliśmy odprowadzić obaj z księdzem Ludwikiem. Zauważyłem, że w miarę, jak zbliżała się godzina stanowcza, Hanię owładła dziwna jakaś niespokojność. Mieniła się w oczach i drżała na całem ciele. Chwilami wzdrygała się, jakby przestraszona. Wreszcie słońce zaszło, a zaszło pochmurno jakoś, za grube i skłębione, żółtawego koloru chmury, które groziły gradem i burzą. Kilkakrotnie na zachodniej stronie nieba dał się słyszeć odległy grzmot, jakby groźne warczenie zbliżającej się burzy. Powietrze było duszne, parne i przesycone elektrycznością. Ptaki pochowały się pod dachy, drzewa, i tylko jaskółki rzucały się niespokojnie w powietrzu, liście przestały szemrać na drzewach i zwiesiły się jakby omdlałe; z dziedzińca folwarcznego dochodził żałośny ryk bydła wracającego z pola. Jakiś posępny niepokój opanował całą naturę. Ksiądz Ludwik kazał zamykać okna. Chciałem przed wybuchem burzy zdążyć do Ustrzycy, więc zerwałem się, żeby pójść do stajni i kazać zajeżdżać. W chwili kiedy miałem wyjść z pokoju, zerwała się i Hania, ale siadła natychmiast. Spojrzałem na nią. Rumieniła się i bladła naprzemian. „Duszno mi jakoś! duszno!“ — zawołała i siadłszy przy oknie, poczęła się wachlować chustką. Dziwna niespokojność jej zwiększyła się widocznie. „Możeby poczekać — rzekł do mnie ksiądz Ludwik — burza za jakie pół godziny wybuchnie“. „Za pół godziny — odpowiedziałem — będziemy już pod Ustrzycą, a zresztą, kto wie jeszcze, czy to nie próżne strachy“ — i pobiegłem do stajni. Koń był dla mnie osiodłany, ale z zaprzęganiem marudzono, jak zwykle. Upłynęło z pół godziny czasu, nim stangret ruszył przed ganek z powozem, ja zaś za nim na koniu. Burza zdawała się tylko wisieć, ale nie chciałem już dłużej zwlekać. Wyniesiono natychmiast kufry Hani i przymocowano za powozem. Ksiądz Ludwik czekał już na ganku, w białym płóciennym kitlu i z ogromnym, również białym, parasolem.

— Gdzie Hania! czy gotowa? — spytałem go.

— Gotowa. Będzie już z pół godziny, jak poszła się modlić do kaplicy.

Poszedłem do kaplicy, ale Hani tam nie znalazłem; z kaplicy przeszedłem do sali jadalnej, z sali jadalnej do bawialnej, Hani nie było.

— Haniu! Haniu! — począłem wołać.

Nie odpowiedział nikt.

Cokolwiek niespokojny, już udałem się do jej pokoju; myślałem czy nie zasłabła? W pokoju siedziała, popłakując, stara Węgrowska.

— Czy to już?—spytała.—Czas się pożegnać z panienką?

— Gdzie panienka jest? — spytałem niecierpliwie.

— Panienka poszła do ogrodu.

Wybiegłem i ja do ogrodu.

— Haniu! Haniu! czas siadać!

Cisza!

— Haniu! Haniu!

Jakby w odpowiedzi mi, zaszemrały niespokojnie liście pod pierwszem tchnieniem burzy, spadło kilka grubych kropel dżdżu i znów zapanowała cisza.

„Co to jest?“ — spytałem się sam sie-

bie, i czułem, że włosy powstają mi na głowie z przerażenia.

— Haniu! Haniu!

Przez chwilę zdawało mi się, że z drugiego końca ogrodu słyszę odpowiedź! Odetchnąłem. „Ach! głupiec ze mnie, pomyślałem sobie i pobiegłem w stronę zkąd głos dochodził.

Nie znalazłem nic i nikogo.

Z tej strony ogród kończył się sztachetami, za któremi szła polna droga ku owczarni stojącej w polu. Chwyciłem za sztachety i spojrzałem na drogę: było na niej pusto, tylko Ignac chłopak folwarczny, pasł gęsi w rowie, tuż przy sztachetach.

— Ignac!

Ignac zdjął czapkę i podbiegł ku sztachetom

— Nie widziałeś ty panienki?

— Widziałem. Dopiero co panienka tędy jechali.

— Co? jak? gdzie jechała?

— A ku lasowi, z paniczem z Chorzel. O! tak jechali, co ino konie mogły wyskoczyć!

— Jezus! Marja! Hania uciekła z Selimem!

W oczach mi pociemniało, a potem niby błyskawica przeleciała przez głowę. Przypomniałem sobie niespokojność Hani? ów list, który widziałem w jej ręku. Wszystko to było umówione? Mirza pisał do niej i widział się z nią. Wybrali chwilę przed samym wyjazdem, bo wiedzieli, że wszyscy wtedy będą w domu zajęci. Jezus, Marja! Oblał mnie zimny pot, a włosy zjeżyły się na głowie. Nie pamiętam kiedy znalazłem się na ganku.

— Konia! konia! — krzyknąłem strasznym głosem.

— Co się stało? co się stało?—krzyczał ksiądz Ludwik.

Ale odpowiedział mu tylko huk grzmotu, który rozległ się w tej chwili. Wiatr zaświszczał mi w uszach od szalonego pędu konia. Wypadłszy w lipową aleę, skręciłem go w kierunku drogi, którą uciekli; przesadziłem przez jeden płot następnie przez drugi, i popędziłem dalej. Ślady były widoczne. Ale tymczasem wybuchmnęła burza: ściemniało; na czarnych kłębach chmur poczęły się rysować jaskrawe zygzaki błyskawic; czasem całe niebo stawało się jednym ogniem, a potem zapadała jeszcze grubsza ciemność; deszcz lał jak jeden potok. Drzewa przydrożne wiły się w różne strony konwulsyjnie. Koń mój, bity szalonemi razami szpicruty i party ostrogami, począł chrapać i jęczyć, a ja chrapałem także ze wściekłości. Pochylony na szyję konia, śledziłem znaków na drodze, nie wiedząc i nie myśląc o niczem więcej. W ten sposób wpadłem do lasu. W tej chwili burza zwiększyła się jeszcze. Jakaś wściekłość ogarnęła niebo i ziemię. Las giął się jak łan zboża i wywijał czarnemi gałęziami, echo grzmotu rozlegało się w ciemnościach od sosny do sosny; huk piorunów, szum konarów, trzask łamiących się gałęzi, wszystko to mięszało się w piekielną jakąś kapelę. Nie mogłem już dojrzeć śladów, ale leciałem naprzód jak wicher. Za lasem dopiero, przy świetle błyskawic, rozeznałem je znowu; ale z przerażeniem spostrzegłem jednocześnie, że chrapanie mego konia zwiększa się, a bieg wolnieje. Podwoiłem razy szpicruty. Tuż za lasem poczynało się prawdziwe morze piasku, które ja mogłem ominąć bokiem ale przez które musiał przejeżdżać Selim. Powinno to było opóźnić ucieczkę.

Podniosłem oczy do góry: „O Boże! spraw, żebym ich doścignął, a potem zabij mnie, jeśli zechcesz! wołałem z rozpaczą. I modlitwa moja została wysłuchana. Nagle czerwona błyskawica rozdarła ciemności, a przy krwawem jej świetle spostrzegłem uciekającą małą bryczuszkę. Nie rozeznałem twarzy uciekających, ale byłem już pewny, że to oni. Byli jeszcze z pół wiorsty drogi; nie uciekali jednak zbyt szybko, bo w ciemnościach i wobec powodzi, jaką sprawiły deszcze, Selim musiał jechać ostrożnie. Wydałem krzyk wściekłości i radości zarazem. Teraz już ujść nie mogli.

Selim obejrzał się, krzyknął także i począł smagać batem strwożone konie. Przy świetle błyskawic poznała mnie i Hania. Widziałem, że uchwyciła się z rozpaczą Selima, i że ten coś mówił do niej. W parę sekund byłem już tak blisko, że mogłem usłyszeć głos Selima: „Mam broń przy sobie! — wołał w ciemnościach — nie zbliżaj się, bo strzelę!" Ale nie uważałem na nic, i docierałem coraz bliżej i bliżej. „Stój! — wołał Selim — stój!" Byłem zaledwie o piętnaście kroków, ale droga poczynała się teraz lepsza, i Selim puścił na nowo konie pełnym galopem. Odległość między nami na chwilę zwiększyła się, ale potem znów począłem ich dościgać. Wówczas Selim odwrócił się i począł mierzyć z pistoletu. Groźny był, ale mierzył spokojnie. Chwila jeszcze, a byłbym uchwycił ręką za bryczkę. Nagle jednak rozległ się huk strzału... koń mój rzucił się w bok: skoczył jeszcze kilka razy, potem klęknął na przednie nogi, podniosłem go, przysiadł na tylne, i chrapnąwszy ciężko, zwalił się na ziemię wraz zemną.

Zerwałem się natychmiast i począłem biedz ile sił miałem piechotą, ale było to próżne wysiienie. Wkrótce bryczka coraz dalej była odemnie i dalej; potem widziałem ją już tylko, gdy błyskawica rozdarła chmury. Znikła w dali i ciemności jak ostatnia nadzieja. Próbowałem krzyczeć, nie mogłem, brakło mi tchu. Turkot dochodził mnie coraz słabiej, wreszcie potknąłem się o kamień i upadłem.

Po chwili jednak podniosłem się.

— Odjechali! odjechali! zniknęli! — powtarzałem głośno, i nie wiem już co się tam we mnie działo. Byłem bezsilny, sam jeden wśród burzy i nocy. Ten szatan Mirza zwyciężył mnie. Ach! gdyby Kazio nie był pojechał z ojcem, gdybyśmy byli we dwóch gonili, a teraz? co będzie? Co teraz będzie? krzyknąłem głośno, żeby usłyszeć własny głos i nie zwarjować. I zdawało mi się, że wicher naśmiewa się ze mnie, i świszcze: „siedzisz na drodze, bez konia, a on tam z nią". I tak huczał wiatr i śmiał się i chichotał. Wróciłem zwolna do mego konia. Z nozdrzy wypływał mu strumień czarnej krzepnącej krwi, ale żył jeszcze, dychał i zwracał ku mnie gasnące oczy. Siadłszy przy nim, oparłem głowę na jego boku, i także zdawało mi się, że umieram. A wiatr świszczał nademną tymczasem, i śmiał się i wołał: „on tam z nią!" Zdawało mi się chwilami, że słyszę piekielny turkot tej bryczki, lecącej w ciemność wraz ze szczęściem mojem. A wicher świszczał: „on tam z nią!" Ogarnęło mnie dziwne osłupienie. Jak długo trwało ono, nie wiem. Gdy się ocknąłem, burza już przeszła. Po niebie pędziły jasne stada lekkich białawych chmurek, ale w przerwach ich widniał błękit niebieski i księżyc świecił jasno. Z pól podnosiły się wilgotne opary. Nieżywy koń mój, który już był ostygł, przypomniał mi wszystko co zaszło. Obejrzałem się w około, aby rozpoznać gdzie się znajduję. Na prawo spostrzegłem dalekie światełka w oknach, więc pospieszyłem w tamtą stronę. Pokazało się, że byłem pod samą Ustrzycą.

Postanowiłem iść do dworu i zobaczyć się z panem Ustrzyckim, co mogłem zrobić tem łatwiej, że pan Ustrzycki nie mieszkał w pałacu, ale miał swój osobny domek, w którym zwykle przesiadywał i sypiał. Światło błyszczało jeszcze w jego oknach. Zapukałem do drzwi. (C. d. n.)

WOLNOŚĆ i PAŃSTWO.

STUDJUM SPOŁECZNE.

(Ciąg dalszy).

Gdybyśmy więc wychodzili ze stanowiska czysto materjalnego, musielibyśmy zaprzeczyć człowiekowi wolnej woli i powiedzieć, że każdy czyn jego stał się, bo stać się musiał. Nie każdy jednak człowiek zapuszcza się w straszliwą otchłań prawa przyczynowości w obrębie nauk przyrodzonych, a wielu ludzi już nazwa materjalizmu odstrasza. Każdy znowu człowiek z doświadczenia wie o tem, a przynajmniej w to wierzy, że co czyni, to czyni z własnej woli; że w danej chwili może wykonanie pewnego czynu tak dobrze zaniechać jak przeprowadzić. Wszakżeż codzienne doświadczenie poucza nas o tem. Sumiennego materjalistę przestraszyłaby taka możliwość; widziałby w tem wielkie niebezpieczeństwo dla ogólnego wszechrzeczy porządku, wyjątek nie dający się pogodzić z ogólnem przyczynowości prawem. Zostawmy jednak tego jednostronnego człowieka na boku, a zobaczmy tymczasem, zkąd powstaje w człowieku ono wolnej woli pojęcie i o ile pojęcie to prawdziwem jest?

Wolność woli jest pojęciem, a jako pojęcie jest nabytem, nie wrodzonem; nie ma bowiem pojęć wrodzonych Dochodzimy do nich na drodze rozumowania, które znowu ma za warunek umiejętność myślenia. Mało jest pojęć, które dziś za prawdziwe uznawane, jutro za fałszywe poczytane być nie mogą. Dzisiejsze pojęcia powstały przeważnie na podstawie innych pojęć na nieprawdziwe uznanych. Są jednakże pojęcia przechowujące się w pierwotnej czystości, t. j. w formie, w jakiej one nie już z innych pojęć, ale wprost z wyobrażeń powstały. Do takich właśnie należy pojęcie wolności woli.

Człowiek spełniwszy czyn jakiś, widzi się być tego czynu przyczyną. Wyobrażenie to mocą siły abstrakcji przechodzi w pojęcie woli. Kiedy wyobrażenie pierwotne przedstawia się człowiekowi w formie: „ja tego czynu przyczyną", to pojęcie wyraża się w ten sposób: „ja tego czynu chciałem." Porównywując to pojęcie z tem co było przed spełnieniem owego czynu, powiada człowiek sobie: „gdyby nie ja, nie byłoby się to stało" i przychodzi tym sposobem do pojęcia:

*

„gdybym ja *nie chciał*, nie byłoby się to stało.“ Wreszcie drogą dalszej abstrakcji, stwarza sobie człowiek *pojęcie wolności woli*, które wyraża tak: „czynu tego mogłem tak dobrze chcieć, jak nie chcieć.“

Pojęcie każde jest tylko względnie prawdziwem. W czystej abstrakcji tylko prawdą jest, że człowiek w danej chwili może chcieć lub nie chcieć danego czynu; ale w takim razie trzeba, by i przyczyny, które wolę jego w danym oznaczyły kierunku, zmieniły się także. Człowiek najmniejszej rzeczy chcieć bez powodu nie może. Wola jego poruszana jest nie dowolnością, ale sprężynami przyczynowości, czyli pewnemi powodami. Powody te wypływają z wewnętrznego ustroju człowieka i z działania sił zewnętrznych na podstawie tej wewnętrzności. Sama zaś ta wewnętrzność powstaje, i kształtuje się w człowieku także na podstawie działania sił zewnętrznych na człowieka. Człowiek jak ktoś podobnie powiedział, jest rezultatem: ojca, matki, niańki, słońca, ziemi, kwiatów, powietrza, księżyca, bata, kozy, teatru, pokarmów które on i matka jego spożywała, itd., itd. Działanie i oddziaływanie tego wszystkiego na jego wrażliwy organizm tworzy i kształci jego wewnętrzną duszę, umysłowość, w której bezwiednie tysiące tajemnych sprężyn i kółek się porusza, tworząc myśli i uczucia rozliczne W obec tego wewnętrznego ustroju człowieka i niezaprzeczonego oddziaływania na niego zewnętrznych wpływów, abstrakcyjne pojęcie wolnej woli, które właśnie z tem wszystkiem zerwało, złudzeniem zaiste wydać się musi. Przyznawało to i przyznaje wielu mężów myśli w różnych czasach i miejscach.

Najpierwej może i najpotężniej powątpiewanie co do wolności woli objawiło się w religji. W świecie klasycznym, bogowie oddziaływują na ludzkie czyny, a razem z ludźmi stoją pod wpływem nieubłaganego fatum. W świecie chrześcijańskim, nauka o predestynacji i prescyjencji, albo o łasce i przeznaczeniu, przeciwko temu walczy pojęciu. Już w Ewangielji powiedziano: „z owoców ich poznacie je.“ „Dobre drzewo tylko dobre owoce rodzić będzie.“ Ja powiadam także, że człowiek zły bez pewnych zewnętrznych powodów dobrze czynić nie będzie.

W dziedzinie umiejętności także podnoszą się głosy przeciwko pojęciu wolnej woli. Już pominąwszy naturalistów, w dziedzinie nauk społecznych występują jego przeciwnicy; nie brak nawet i filozofów i psychologów wolnej woli człowiekowi zaprzeczających.

Sztuka wreszcie wiekopomnemi arcydziełami mistrzów swoich, daje takie świadectwo prawdzie tej, że człowiek nie wedle czystej dowolności, ale wedle konieczności praw postępować musi. Na tej to podstawie opiera się szczyt poezji, poezja dramatyczna, tragedja zwłaszcza. W tragedji bohater jakąś tajemniczą siłą popychany jest do czynów. Jeden czyn stawia go w konieczności spełnienia drugiego. Znając ustrój i prawa społeczeństwa, na tle którego osnutą jest tragedja, oraz mając wykończony charakter pewnej poetycznej postaci, na pewno można obliczać wypadki i widzieć z góry do czego w danej sytuacji poprowadzoną ta postać zostanie. Są tu pewne prawa, pewna konieczność, która służy za podstawę do konsekwentnego przeprowadzenia charakterów w dramacie.

Wreszcie człowiek uważany może być jako istota społeczna. Jeżeli społeczeństwo brać będziemy nie za zlepek przypadkowy, mechaniczny pojedynczych indywiduów, ale jako organiczną całość, to wolnej woli także istnienia zaprzeczyć musimy. W cóżby się obrócił organizm np. człowieka, gdyby każda najdrobniejsza cząstka jego składowa, mogła czynić co jej się podoba, gdyby każda komórka organiczna, każda rurka i każde z żyjątek które krew składają, obdarzone było wolną wolą? Cyfry statystyczne wykazują nam perjodyczność i postępowość w społeczeństwie. W obec nich musimy przyjąć jedne z dwóch ostateczności: Jeżeli już koniecznie przy wolnej woli obstawać będziemy, to przyznać musimy, że ta perjodyczność jest czysto przypadkową i że samo także społeczeństwo czemś przypadkowem, ślepego trafu wynikiem jest; albo też musimy przyznać pewne prawa rządzące działaniem jednostek, czyli tem samem zaprzeczyć im wolnej woli. To drugie racjonalniejsze pewno.

Tak więc wolności woli zaprzeczam całkowicie i stanowczo.

1. Dlatego, że człowiek cząstka przyrody będąc i żyjąc w niej, dla niej i przez nią, musi podlegać jej koniecznościowym prawom, które każdy czyn jego oznaczają, i do ogólnej harmonji wszechświata wprowadzają.

2. Że z doświadczenia wiemy, iż są pewne zewnętrzne i wewnętrzne powody, które człowieka do działania popychają. Człowiek wybierając między dwoma czynami, lub zaniechaniem albo wykonaniem danego czynu, działa tu zawsze dla jakiejś przyczyny, która tkwi bądź w duszy jego, bądź w zewnętrznych okolicznościach. Gdyby te rzeczy na jego postanowienie nie wpływały, to nie wolność, ale raczej przypadkowość jego działaniem by kierowała.

3. Trzecią przyczyną, dla ktorej wolność woli zaprzeczam, jest to, że człowiek będąc cząstką organizmu społecznego, podlegać musi prawom żywotnym, na podstawie których ten organizm istnieje i rozwija się. (C. d. n.)

AWANTURNICZA WYPRAWA
DO CHIWY
BURNABY'EGO
KAPITANA GWARDJI KRÓLEWSKIEJ.

(Z angielskiego).

(Ciąg dalszy).

Ale wjedźmy już raz przecie do Kalenderhany, do tej nieznanej wioszczyny kirgizkiej, która jednak z biegiem okoliczności podniosła się do takiego znaczenia w dziejach awanturniczej wędrówki Burnabyego. Na prawo i na lewo wzdłuż szerokiej stepowej drogi stoją białe kaszmarowe kibitki, frontem czyli drzwiami zwrócone ku południowi. Dokoła każdej z nich, zagrody pełne baranów, wielbłądów i koni, co świadczy że mieszkańcy są zamożni. Nad brzegiem rzeki Karasol, i nad Jeni-Darją liczne ogrody, utrzymane tak czysto i starannie, jak chyba tylko w Holandji. Przedstawmy bowiem sobie przestrzeń czworoboczną, dwa a najwyżej trzy morgi obszaru mającą, przeciętą wzdłuż i wszerz kilkoma kanałami. Od każdego kanału w prawo i w lewo idą mniejsze kanaliki i rowki, oddzielające grzędy między sobą. Tym sposobem każda grzęda, tej mniej więcej szerokości co nasza, otoczona jest dokoła kanałem, który ją osusza w czasie słoty, a zwilża w czasie posuchy. W pierwszym wypadku właściciel ogrodu podnosi tamę, odzielającą główny ściekowy kanał od rzeki; w drugim tamę opuszcza, nastawia pompę wietrzną znajdującą się nad brzegiem rzeki i pompuje do kanałów wodę. Pompa ta jest tak urządzona, że w razie ciszy, miejsce wiatru zastąpić może wielbłąd, a w najgorszym wypadku i człowiek. Na tych grzędach, obrobionych z azjatyckim pedantyzmem, gnojonych obficie, a pulchnych jak najlepsze wielkanocne baby, rodzą się owe 50 funtowe melony, zajmujące w sercu Kirgiza trzecie z rzędu miejsce. Liczne mostki i kładki, zarzucone przez kanały, dopełniają obrazu, jaki powstaje w oku widza, patrzącego z góry i z dala na ogród chiwańsko-kirgizki.

Właściwymi bowiem ogrodnikami nie są Kirgizi, tylko Chiwańczycy. Oni to wypielęgnowali sztukę ogrodowniczą, doprowadzili ją do takiej doskonałości i tajemnic jej nauczyli Kirgizów. To też i w Kalenderhanie największe i najlepiej prowadzone ogrody są w ręku Chiwańczyków, a poznać to można natychmiast po budowie domów, przytykających do nich. W Kirgizie, który się nawet stale osiedlił i zajął się wyłącznie rolnictwem, jest zawsze jeszcze coś koczowniczej żyłki. Najlepszym do tego dowodem to, że nie dba o dom, w którym mieszka. Z całem staraniem poświęca się on uprawie ogrodu, ale czas i pracę zużytą na wybudowanie domu, uważa za stracone. Kto wie, czy nie wypadnie mu jeszcze puścić się na włóczęgę po stepie! Woli przeto mieszkać w kibitce, a jeżeli nawet czasami zbuduje chatę z drzewa i kamieni, zawsze przecie da jej stożkowy kształt kibitki, wewnątrz wyścieli baraniem futrem i kaszmarem, po środku dół na ogień wykopie i u góry zostawi otwór dla wchodzenia światła a wychodzenia dymu. Inaczej urządza się Chiwańczyk. On lubi życie osiadłe, serdecznie jest przywiązany do swej rodziny, ma wiele haremowych skłonności i skoro mu tylko fortuna sprzyja, harem natychmiast zakłada. A kto ma harem, temu nigdy ostrożność nie zawadzi. Lepiej więc odgrodzić się od świata i jego pokus wysoką bez okien i drzwi ścianą, aniżeli zaufać stałości uczuć niewieścich. Dla tego to Chiwańczyk jest zwolennikiem w architekturze stylu mięszanego z pierwiastków indyjskich i maurytańskich. Dom jego z zewnątrz wygląda jak duża czworoboczna forteca, o ścianach zupełnie nagich, wysokich, lekką koronką gzymsową ozdobionych u góry. W jednej tylko ścianie u dołu znajdują się malenkie drzwi, ciężkie, okute, zaryglowane na cztery zamki. Bezpośrednio za tą pierwszą ścianą, obwodową znajduje się wąski korytarz, a za nim druga ściana należąca już do właściwego domu, który jest także czworoboczny. W korytarzu są stajnie dla bydła i lamusy na sprzęty rolnicze. Ściany właściwego domu również jak pierwsze obwodowe ściany są nagie i bez okien; różnią się zaś od nich tem, że są nieco niższe i że mają o wiele więcej drzwi, bo po jednych z każdej strony domu. Dotąd przeto mamy w najprostszej swej postaci i formie architekturę indyjską. Ze stylem zaś maurytańskim spotykamy się dopiero we wnętrzu domu. Tu naprzód mamy niewielki czworoboczny dziedziniec, ozdobiony kamienną sadzawką po środku. Dokoła niego liczne balkony, oparte na ledziutkich, rzeźbionych w okół słupach, a pod balkonami altany wysłane miękkiemi dywanami, tkanemi z wełny owczej. W altanach tych Chiwańczyk z całą swoją rodziną oddaje się latem *kiejfowi*, to jest pali fajkę i zajada melony. Turek

w takich razach pije kawę. Ale teraz jest zima. Chiwańczyk przebywa przeto na górnych piętrach swego domu, w izbach ogrzewanych przyrządem mosiężnym stojącym po środku na małym stołeczku i podobnym do dużego samowara. W izbach tych zamiast okien są małe kuliste otwory w ścianach, wychodzących na wewnętrzny dziedziniec. A ponieważ wyrób szkła w Chiwie nie jest dotąd znany, a przywożone szkło kosztuje tak drogo, że jeno panujący są w stanie je kupować, przeto zwykły chiwański śmiertelnik wprawia do swych okien okiennice drewniane, ażurowo wycinane w przeróżne esy i floresy. Na niektórych rysunek tego ażurowego kroju ma być misternie wykonany i odznacza się estetycznym smakiem.

W Kalenderhanie i w okolicy postać kraju zmienia się nagle. Kończy się step, albowiem tu po raz pierwszy napotyka się drzewa, zrazu rzadko, gdzieniegdzie rozsiane, ukryte w parowach, albo stłoczone kupkami nad brzeg Jeni-Darji; im bliżej zaś Chiwy i Amu-Darji tem coraz częstsze, coraz liczniejsze, tworzące już i rozległe bory i nawet miniaturowe puszcze. A gdzie jest las, gdzie drzewo rodzi, tam i pole uprawiać można. To też wzdłuż całej drogi od Kalenderhany do Chiwy spotyka się zrazu miejscami tylko, potem już nieprzerwanie łany zasiane ryżem i kukurudzą. Jednakże ziemia nie może tu być co roku jednakowo urodzajną, bo rolnik tutejszy niewiele jej ufa, a powierzywszy jej swe ziarno, nie oddaje się próżniaczemu leniwstwu naszych robotników, lecz roztacza i nadal nad niem swoję opiekę. I tak np. stara się wszelkiemi środkami zapanować nad nieuchwytną aurą, wziąć ją o ile to możebne w swoje władanie, albo przynajmniej zmniejszyć jej fluktuacje i jej szkodliwe na rolnictwo wpływy. Dla tego to system kanałów, wypróbowany z tak pomyślnym skutkiem w ogrodach, aplikują Chiwańczycy i do całych obszarów rolnych. Jadąc drogą, co dwa lub trzy kilometry spotyka się kanał, przecinający pola w rozmaitych kierunkach; brzegi takiego kanału zasadzone są zawsze drzewami. Ktoby pomyślał, że Chiwańczyk pragnie wody jej ukryć pod gęstemi konarami drzew przed namiętnym i wiecznie spragnionym wzrokiem słońca. Kanały takie połączone są ze sobą rowami tak gęsto, że niemal każda posiadłość oddzielona jest dokoła od sąsiednich wodną smugą rowów lub kanałów. Wszystkie zaś te kanały czerpią swe wody z licznych dopływów z jednej strony Jeni-Darji, z drugiej Amu-Darji.

Jednakże cały ten system kanalizacyjny i w ogóle całe to rolnictwo, stojące na tak wysokim stopniu, istnieje tylko na pewnej dość ograniczonej przestrzeni. Nie cały chanat Chiwy jest równie bogaty i równie żyzny. Żyzną i bogatą, i do tego znakomicie uprawianą jest tylko ta jego cząść, którą można byłoby nazwać deltą Amu-Darji, złożoną bez przesady z jakiego tysiąca przeróżnych rzeczek i strumyków, rozmaitemi Darjami zwanych (bo *darja* znaczy rzeka), a wpadających bądź do Amu bądź do Aralskiego morza. Podobnie zaś jak od wschodu zamyka tę połać uprawnej ziemi step Kizilkumski, tak od zachodu przytyka do niej pustynia Ust-Urtska, oddzielająca Aralskie morze od Kaspijskiego, a od południa, pustynia Karakumska*), oddzielająca Chiwę od Persji. Owoż te dwie pustynie są naprawdę pustyniami, w całem tego słowa znaczeniu. Tak lekceważąco i po kawalersku traktować ich nie wolno jak traktowaliśmy sobie step Kizilkumski, naprzód dlatego, że one rzeczywiście są „morzem piaszczystem“, a powtóre dlatego, że na niezliczonych oazach, istniejących na tych pustyniach, przebywają Turkomani, jedno z najbardziej wojowniczych plemion Azji środkowej. Z nimi nie tak łatwo dać sobie radę jak z Kirgizami, bo Kirgiz tylko w wyobraźni Europejczyków jest waleczny, w gruncie zaś jest to spokojny handlarz, pasterz, a niekiedy rolnik. Natomiast Turkomam jest rozbójnikiem z urodzenia i z zajęcia. Nie trudni się rolą, bo bezwodnej pustyni uprawiać nie może; nie trudni się pasterstwem, bo gdyby nawet miał bydło, to jeszcze niemiałby go gdzie wypasać; więc się trudni rozbojem. Ależ kogo rozbija na bezludnym stepie? zapyta zdumiony czytelnik. Na stepie, na swej Karakumskiej pustyni nikogo nie rozbija, bo przez nią nawet żadne karawany nie ciągną. Ale rozbija w nadgranicznych powiatach Chiwy, Buchary i Persji, z łupem zaś ucieka do swojej oazy, nad brzeg jakiegoś słonego lub słodkiego jeziora, tworzącego się w zagłębieniach gruntu podczas pory słotnej, a wysychającego w czasie posuchy. Ale dla Moskali ci Turkomani są znakomitym pretekstem. Ze względu na nich i na ich wrzekome napady zbójeckie na czółnach wykonywane, usprawiedliwili Moskale przed Europą posiadanie floty wojennej na Aralskiem morzu, lubo właściwie nie mają dotąd przyznanego sobie prawa władania tem morzem; ze względu na nich zbudowali fort Petro-Aleksandrowski na terytorjum chiwańskiem; ze względu wreszcie na nich, na tę maluczką garstkę rozbójników z musu i potrzeby, dąży teraz Moskwa, jak donoszą najnowsze wiadomości z Azji, do zawojowania Merwu i Heratu, dwóch prowincji należących do Afganistanu, którego władzca zmarły emir Szyr-Ali zawarł był świeżo, zeszłego roku, przymierze wieczystej przyjaźni z białym carem, a w tem przymierzu otrzymał gwarancją ze strony Moskwy, że ziemie należące teraz do korony afgańskiej będą po wsze czasy do niej należały.

Ale rzućmy zasłonę na to brudne pole matactw dyplomatycznych, na które wkroczyliśmy przypadkowo i z pewnością ku wielkiemu niezadowoleniu naszych czytelników. Wybaczą nam oni jednak, gdy zważą, że mówiąc o Turkomanach, musieliśmy przecież wspomnieć o tej roli doniosłej, jaką ci rozbójnicy odgrywają w dziejach tak zwanej misji cywilizacyjnej Moskali w Azji.

Wytłomaczywszy się z tego zboczenia, wracamy do Kalenderhany, gdzie już tymczasem Burnaby rozlokował się u brata przewodnika, zabrał znajomość z całą jego rodziną, dowiedział się, że konie na noc wypędzono na pastwisko, ale że wrócą jutro rano, i że wtedy gospodarz osobiście wybierze mu najlepsze indywiduum z całego stada, coś tak doskonałego, czego z pewnością nie ma w stajni padyszacha. Nazar zaś potrafił już nawet rozpocząć konkury, a od przedmiotu swych afektów dowiedział się pod wielkim sekretem, że dzisiejszej nocy będzie wielka uczta u brata przewodnika.

— Wasza Miłość, będziemy dziś jedli konia — rzecze Nazar na ucho Burnabyemu.

— Więc czego się tak cieszysz, że ci się aż oczy powiększyły?

— Jakże nie mam się cieszyć? Przecież to *pir* (wyraz tatarski, oznacza uczta niebiańska, przyswojony przez Moskali). Już ze dwa lata jak konia nie jadłem. A gospodarz ma starego, którego zabije dzisiejszej nocy. Ale to wielki sekret.

— Dla czego sekret?

— Bo jakby się dowiedziano, toby zbiegła się do niego w gościnę cała wieś. A wtedy nie wypadałoby mu nie zaprosić sąsiadów na *pir*.

— A zkądże ty się dowiedziałeś?

— Mówiła mnie ta dziewczyna, która służy u gospodarza. Oddałem jej te paciorki, które mi Wasza miłość kazała babom rozdać, więc mnie w zamian powiedziała pod sekretem, co się tu dziać będzie dzisiejszej nocy. Wasza Miłość widziała tę dziewczynę — nieprawda, że ładna.

Dziwne są gusta u ludzi, należących do tej samej rasy, a o ileż dopiero są dziwniejsze ideały piękna u ludów należących do ras rozmaitych. Jeżeli kto zrozumieć nie może, jak mogą zachwycać się Francuzi zadartym noskiem, Anglicy wydłużonemi w ryjec wargami, Hollendrzy policzkami podobnemi do pagórków Libanu (porównanie Salomona), Niemcy nóżkami jak łodzie, a żydzi nosem jak dziób krogulczy; ten naturalnie nigdy zrozumieć nie zdoła, jak mógł Nazar mówić, że ładną jest istota, mająca twarz szerszą niż dłuższą, nos tak płaski, że z profilu niewidzialny, oczy wąziutkie, wargi szerokie, czoło niskie, uszy duże i nozdrza jak lufy dubeltówki naprzód wycelowane. Tembardziej zaś tego nie zrozumie, gdy się dowie, że obok z tą dziewczyną znajdowała

---

*) Pustynia karakumska stała się mniej więcej od pół roku przedmiotem powszechnego zajęcia w świecie geografów. Od października zeszłego roku po dziś dzień nie było prawie ani jednego posiedzenia, któregobądź z europejskich towarzystw geograficznych, na którego porządku dziennym nie stałaby sprawa pustyni karakumskiej. Ponieważ zaś nasze pisma, ani polityczne ani też naukowe (z wyjątkiem wprawdzie „Gazety Narodowej“, która raz mimochodem i to wyłącznie ze stanowiska politycznego wspomniała o tej sprawie) nie oznajomiły publiczności polskiej z tą kwestją, przeto w kilku słowach musimy ją tu wyjaśnić. Rzeka Amu-Darja spływająca z północnych stoków Hindu-Kuszu, dzieliła się niegdyś przed lat tysiącem na dwa ramiona, z których jedno wpadało (tak jak i wpada obecnie) do Aralskiego morza, podczas gdy drugie przecinało w poprzek całą pustynię Karakumską i trzema ramionami wpadało do morza Kaspijskiego, a mianowicie jednem ramieniem do jego zatoki Kara-Bugaz (zatoki Czarnej), drugiem do zatoki Krasnowodzkiej, trzeciem do zatoki Michajłowskiej. Tak było niegdyś, przed wiekami, a naturalnie wtedy pustynia Karakumska, skrapiana wodami tego starożytnego „Oxusa“ była żyzną, lesistą i gęsto zaludnioną. Pokrywały ją liczne osady i miasta, których szczątki odsłania teraz niekiedy zmieciony piasek wiatrem stepowym. Z jakich powodów wyschło z czasem to Kaspijskie ramię „Oxusa“, jest to kwestją dotąd nierozstrzygniętą. Bo nie wycięcie lasów było tu tego przyczyną, albowiem ramię to, tak samo, jak i Aralskie, wody swoje czerpało z gór Hindu-Kuszu, które i dzisiaj obficie ich dostarczają. Przypuszczają przeto niektórzy, że jakieś gwałtowne trzęsienie ziemi musiało kiedyś podnieść poziom Karukumskiej pustyni i tym sposobem wszystkie wody „Oxusa“ zwrócić ku Aralskiemu morzu. Bądźcobądź, faktem jest jednak, że przez lat tysiące Kaspijskie ramię „Oxusa“ było suche. Jakież zdziwienie ogarnęło mieszkańców Krasnowodzka (fortecy moskiewskiej nad brzegiem Kaspijskiego morza) gdy nagle d. 9. paźdz. z. r. spostrzegli wodę w starem łożysku. Zrazu wody tej było niewiele, ale z dniem każdym zaczęła przybywać, doszła w końcu według ostatnich raportów do tego, że tworzy rzekę kilkanaście sążni szeroką, a po środku ze 20 stóp głęboką. Dla Moskali, ta z nieba spadająca dla nich rzeka jest znakomitą dźwignią w sprawie ich panowania nad Azją środkową. To też ministerjum dróg i komunikacji weszło już w porozumienie z ministerjum oświaty i z geograficznem towarzystwem petersburgskiem i jak donoszą dzienniki petersburgskie wyruszy zaraz z wiosną ekspedycja złożona z geografów i inżynierów pod eskortą silnego oddziału wojska w celu zbadania, w którem miejscu nastąpiła bifurkacja Amu-Darji, co było powodem tej bifurkacji i czy jest możność podniesienia Kaspijskiego jej ramienia do znaczenia wielkiej spławnej rzeki, chociażby kosztem jej Aralskiego ramienia. Ten ostatni zamiar Moskali, grożący zagładą Chiwie, stanowi polityczną stronę tej sprawy. Chan Chiwański stara się zapobiedz tym studjom moskiewskim, bo widzi w nich niebezpieczeństwo dla siebie a w obronie Chiwy występuje Anglja.

się druga, lat 16 do 18, brunetka, śniada, o dużem pełnem oku, o orlim nosie, wysokiem czole, o małych wiśniowych wargach i nader wdzięcznej postawie. Była to niewolnica afgańska czy perska, ale prawdopodobniej Afganka, bo na Persjankę za nadto była piękną. A wiadomo, że Afgani — według naszego pojęcia piękna — należą do najpiękniejszych ludów na kuli ziemskiej.

— A powiedz-że mi Nazarze, któż to taki ta druga, czarna?

— To straszydło z wyłupionemi oczami i z nosem jak dziób orli? Et, to niewolnica — odparł Nazar, machnąwszy pogardliwie ręką. Gospodarz sprzedałby ją za jakie dziesięć baranów, tylko że nikt za taką poczwarę i barana nie da.

Burnaby, jak przyznaje się, miał wielką chętkę zapłacić za nią połowę tego złota, które miał ze sobą i przywieść ze sobą do Europy ten żywy okaz ziemi chiwańskiej; ale odechciało mu się, gdy w parę godzin potem zobaczył przypadkowo, jak ten ideał drobnemi swemi rączkami zdzierał skórę z zabitego konia.

Nocnej uczty, wyprawionej kosztem konia, opisywać nie będziemy. Odbyła się bowiem według wszelkich reguł gościnności ze strony gospodarza, a przyzwoitości ze strony gości. Dobrym tonem i dystynkcją manier odznaczał się szczególnie Nazar, albowiem kilka razy wyjął z kotła palcami soczysty kawał pieczeni końskiej i rzucił go wprost w rozwarte usta żony gospodarza i jego córek, siedzących obyczajem kirgizkim z dala i gotowych na rozkazy pana domu i jego gości. Kobiety kirgizkie i tak samo chiwańskie nie mają nigdy prawa jadać razem z mężczyznami i nigdy pierwej od mężczyzn. Dopiero gdy mężczyzni zjedzą, zabierają się one do resztek pozostałych w kotle. Znając zaś nienasycony apetyt Kirgizów, można prawie być pewnym, że często ich damy pusty kocioł dostają po nich w spadku. Z tego też prawdopodobnie powodu, powstał niedawno u Kirgizów zwyczaj, praktykowany dotąd tylko u ludzi bogatszych, że gość rzuca od czasu do czasu damom gospodarza kawał mięsa, dla złagodzenia nieco ich apetytu. Jest to już zatem pewien postęp w pozycji kobiety kirgizkiej. Ale ileż to jeszcze wody z Amu-Darji ubiegnie do morza Aralskiego, zanim dojdzie ona do tego społecznego stanowiska, że jak u naszych włościan zasiądzie razem z mężem do stołu, lubo przyzwoitość zabrania jej włożyć pierwej od męża łyżki do misy. My poszliśmy jeszcze dalej: przy naszych stołach oddajemy pierwszeństwo naszym paniom, ale panie nie są z tego zadowolone i pragną równouprawnienia, to jest domagają się chyba, aby obie płci równocześnie pakowały swe łyżki do misy.

Nazajutrz rano po załatwieniu interesu z gospodarzem, w wyborze najlepszego konia z jego dość lichej stadniny i po zapłaceniu za niego dwa razy tyle niż on był wart, uprosił Burnaby gospodarza, aby przywołał mołłę dla napisania listu do Chana Chiwy. Burnaby posiadał wprawdzie dobrze język arabski, używany jako dyplomatyczny na całym Wschodzie, ale nie chciał sam pisać listu z obawy uchybienia w czemskolwiek etykiecie, tak surowo przestrzeganej w całej Azji. Dla tego też zawezwał mołłę czyli proboszcza Kalenderhany. Mołła, człowiek światły, który zwiedził już był Mekkę i Konstantynopol, nieskończenie był rad ze spotkania z Burnabym, raz dla tego, że za nic w świecie uwierzyć nie chciał, aby Anglik odbywał tę podróż bez żadnej misji ze strony rządu królowej; powtóre, że znalazł przecie człowieka, z którym mógł pomówić po arabsku, a do czego w owych stronach rzadko się zdarza sposobność. Wywdzięczając, się tedy Burnabyemu, napisał mu mołła list tak kwiecisty, obfitujący w zwroty i porównania tak pełne fantazji, że nie uległo prawie najmniejszej wątpliwości, iż Chan uczyni zadość prośbie Anglika i pozwoli mu „uderzyć twarzą w proch przed swojem chańskiem obliczu.“ Z listem tym wysłano posłańca natychmiast, sam zaś Burnaby zdecydował się jeszcze całą dobę zabawić w Kalenderhanie i wyruszyć dopiero nazajutrz, dlatego żeby u przewozu przez Amu-Darją spotkać się z posłańcem, gdy będzie wracał z odpowiedzią Chana. Wszakże ten pobyt w Kalendarhanie nieco dłuższy, niżeli Burnaby obliczał zrazu, nie był marnie strawionym czasem. Dowiedział się on bowiem dwóch ważnych rzeczy: raz, że Chiwańczycy z całą wschodnią namiętnością nienawidzą Moskali i dla tego w stronę Indji Albionu szlą błagalne westchnienia; a powtóre, że Chan Chiwy nietylko nie jest tak strasznym djabłem jak go malują Moskale, ale przeciwnie należy do rzędu tych dzisiaj już tak nielicznych monarchów, który są przedmiotem czci i sympatji całego swego narodu. Ludzki, sprawiedliwy, oszczędny, prowadzący dwór jak można najskromniejszy, żeby najmniej obciążać lud podatkami, i oddany ciągłej pracy aby ocalić niezależność polityczną swego narodu, jest on ulubieńcem wszystkich swych poddanych. Dziwna rzecz — w Azji taki europejski monarcha. Jakże się nam rumienić wypada, nam cywilizowanym Europejczykom, że tolerujemy u siebie azjatyckiego Chana. (C. d. n.)

MAGJA I NAUKA.

Czego też ten wiek XIX nie wymyśli! Słońcu kazał poruszać maszyny, blaszce żelaznej mówić głosem ludzkim, płomieniom tańczyć według muzyki, elektryczności świecić, pisać i śpiewać; dochodzi chemicznego składu gwiazd, waży ziemię i planety, z kawałkiem węgla rozmawia jak z rozumną istotą... a w dodatku twierdzi, że to wszystko są rzeczy *naturalne*, że cudów nie ma, i że gdyby Hermes lub Apolonjusz z Tyany wstali z grobu, mogliby się od każdego profesora gimnazjum nauczyć rzeczy takich, o jakich się kapłanom egipskim nie śniło.

Tajemnice bogini Izys sprzedają się dziś na wagę papieru, przepowiednie astrologji nabyć można pod kościołem, a tajemnic jeszcze głębszych, chociaż je sprzedają antykwarjusze, nikt kupować nie chce. *O tempora! O mores!*

Dawniej było lepiej. Dawniej świat był głupim, i przez to właśnie uczony był mędrcem, dziś lud potrzebuje być oświeconym, ażeby mógł uznać naukę, a tam gdzie jest ciemny, nie wierzy nawet najskromniejszemu lekarzowi, jeometrę uważa za magika a astronoma za warjata. Przesądy znikają, nauka rozprzestrzenia się; przyroda zaczyna przemawiać głosem *swoim*, nie nadnaturalnym, a to co uczy, zasługuje na głębszy podziw i wiarę niż dawne jej wyrocznie i przestrogi, bo mówi jasno, i to co mówi, pozwala stwierdzić i zastosować praktycznie.

Staliśmy się też do tego stopnia praktycznymi, że większa część wynalazków powstaje od razu w nadziei zastosowań.

Wprawdzie i dawniej tak samo myślano o pożytku bezpośrednim badając prawdy naukowe, a nawet, powiedzieć można, że dziś dla czystej nauki więcej się robi niż dawniej, ale tam gdzie chodzi o praktyczność, o zastosowanie, przybiera ono całkiem odrębny charakter. Dawniej celem odkrycia, było wyzyskiwanie ciemnych tłumów, dziś pożytek oświeconych, ale również tłumów, nie jednostek tylko. Maszyny zastępują najcięższą pracę ręczną, hygjena poprawia warunki zdrowia, wygody, będące dziełem taniego przemysłu stają się własnością wszystkich.

Daleko nam jeszcze do ideału stosunków społecznych; kapitał i dziś jeszcze wyzyskuje pracę, ale przecie dość już daleko odbiegliśmy od ciemnych epok niewolnictwa. Potrzeba ciężkiej, nadmiernej nieraz pracy została, ale rozjaśnia ją przynajmniej swoboda duchowa, swoboda myśli, stowarzyszeń i słowa, której siła rośnie, i w końcu zwyciężyć musi.

Będzie to niewątpliwie najpiękniejsze zwycięztwo z tych, jakie nauka odnieść może.

* * *

Ale nie od razu Kraków zbudowano, jak mówi fonograf naszych prelegentów. Zanim nauka mogła rościć pretensje do tych wielkich celów, zastępowała ją magja. Ona to wchodziła w porozumienie z nadludzkiemi siłami wszechświata, ażeby ludzi chronić od nieszczęść, ażeby im sprowadzać rozkosze i długowieczność, obudzać miłość, spełniać zemstę, dostarczać złota lub wywoływać duchy. Magja jest starszą siostrą nauki, jest jej nieodłączną towarzyszką przez długie wieki, godzi się więc pamiętając o jednej, wspomnieć i o drugiej, dziś zaś więcej niż kiedykolwiek; żyjemy bowiem w epoce, w której magja blednie wobec czarów nauki, tak jak niegdyś nauka kryć się musiała pod urocze skrzydła magji.

I.

Początki magji.

Jest stare prawo, które orzeka, że w świecie ducha jak i w świecie materji nie ma bezwzględnych granic. „Wszystko płynie,“ jak mawiał Heraklit, wszystko rozwija się zwolna, nawet pojęce Minerwy, która odrazu wspaniała i dumna wyskoczyć miała z głowy Jowisza, rozwijało się stopniowo i stopniowo opanowywało umysły. Umysł zastanawiający się, badający, rad wszędzie upatrywać granice, początek i koniec, rad przypisuje stworzenie aktowi jednej chwili, powstanie nauk i sztuk jednym osobistościom wynalazczym i wspaniałomyślnym, bo to zaspokaja potrzebę *jasności* w jego myślach. Ale nie mniej w miarę rozszerzania się jego wiedzy taki dowolny szematyzm staje się coraz mniej uzasadnionym. Spostrzega wszędzie liczne początki w miejsce jednego, pracę zbiorową w miejsce jednostkowej, rozwój powolny w miejsce błyskawicznej twórczości.

Tak też rzecz się ma i z magją. Odnoszenie jej początku do perskiego Zoroastra (właściwie *Zarathustry*) czy do egipskiego Hermesa, tem mniej nas zadowolnić może, ile że ani o jednym, ani o drugim nie da się nawet tyle powiedzieć, w którym wieku przed Chrystusem żył i działał. Wzmiankę o pierwszym najdawniejszą u Greków czyni Xanthus około r. 470 przed Chrystusem, ale i ten mówi o nim jako o żyjącym na wiele wieków, jeżeli nie tysiącoleci przedtem.

O Hermesie wiemy jeszcze mniej. Ten, którego Bulwer w głośnej swej powieści „Osta-

tnie dni Pompei" tak świetnemi barwami odmalował, Hermes „o płomiennej wstędze" (prawdopodobnie fosforem potartej) nie był bynajmniej owym Hermesem pierwotnym zwanym „Trismegistos", którego alchemicy i astrologowie wspominają na tysiące lat odnosząc jego istnienie.

A tymczasem ściśle rzeczy biorąc, magja dawniejszą jest niż Zoroaster i Hermes. Zaczątki jej widzimy w Azji w owych czasach jeszcze, gdy indyjscy i perscy Aryjowie jedno stanowili państwo, albo raczej wspólną zamieszkiwali ojczyznę, czcząc niewidzialnych duchów: Deva i Ahura i napełniając świat regjonami sił uosobionych, przed któremi drżał zabobonny duch Hindusów.

Jeżeli słusznie powiedziano, że strach był ojcem bogów, to był on tem samem ojcem magji. Człowiek pierwotny zrazu czci naturę dlatego tylko, że czuje nad sobą jej władzę. To też ogólną, chaotyczną cześć sił natury napotykamy wszędzie jako początek zarówno magji, jak nauki, jak wiary, jak i poezji wreszcie. Później z tego chaosu zaczyna się wyosobniać system mniej lub więcej wyraźnie dualistyczny, system wiary i wiedzy, w którym jedne duchy, dobre, znajdują odpowiednie uznanie, uwielbienie, inne złe, muszą być przekupywane zabobonną prośbą i ofiarą. Później nareszcie, gdy człowiek zaczyna się czuć więcej swobodnym, gdy jaki taki rozwój umysłowy daje mu w rękę środki ochrony i obrony, zaczyna też i względem sił i duchów przyrody zachowywać się samodzielniej, oddziaływa na nie mocą zaklęć, używa jednych przeciw drugim, walczy jak może i broni się z pewnem poczuciem własnej siły.

Oczywiście tego rodzaju zwrot, dający początek właściwej magji jako sztuce, nie mógł nastąpić w umyśle całych tłumów lecz tylko tych jednostek wybitniejszych, które wiedzą swoją zaczęły zyskiwać wpływ i znaczenie a przedewszystkiem ślepą wiarę, ciemnych, i podpory wyglądających tłumów.

Od tej chwili do rozwoju magji zaczął się przyczyniać motor trwalszy jeszcze niż siła bojaźliwej wiary, *interes* klasy oswieceńszej, gotowej sprzedawać swą wiedzę prawdziwą i fałszywą za cenę hołdu, złota i ślepej uległości.

Magja znalazła swych specjalistów.

Pierwsi *magowie* czyli uczeni, występują jako *kapłani ognia*. Nic dziwnego że błyskotliwy ten objaw, uważany jako siła, którą wcześnie człowiek nauczył się odtwarzać, której potężne, błogosławione lub groźne następstwa dookoła uderzały jego wyobraźnię, był też pierwszym wątkiem wiary i pierwszem narzędziem magicznej władzy człowieka nad otoczeniem.

Najdawniejsze wzmianki o magach znajdujemy w napisach Darjusza Histaspa. „Nosili oni białe suknie, wstrzymywali się od jedzenia mięsa i służyli uosobnionym siłom przyrody, albo, też wyższej formy, fetyszom, słońcu (Mithra) księżycowi, gwiazdom, ziemi, płynącej wodzie, a przedewszystkiem ogniowi". (Peschel, Völkerkunde.) Z nich to powstał Zoroaster Około r. 900 przed Chr. Magja występuje już z bogatym arsenałem zaklęć, wróżb i amuletów jako dzieło kapłanów *Chaldejskich*. Tak nazywano ówczesnych mieszkańców Babilonji.

Pozostałe po nich księgi, a raczej cegły z wypalonej gliny znakami pokryte, odcyfrowała współczesna nauka, znaleziono tam dość znaczną ilość pism czarodziejskich i astrologicznych tablic, które wprawdzie pisane były już wówczas umarłą mową *akkadyjską* dla lepszego zachowania tajemnic, ale szczęściem obok tego tekstu znajdowano wszędzie tłómaczenia assyryjskie, które ułatwiły uczonym zrozumienie ciekawych tych zabytków. *Lenormand*, znający nietylko język assyryjski, ale i ową dawniejszą akkadyjską mowę, zebrał te dokumenta i opisał w niezmiernie zajmującem dziele „O Magji i wieszczbiarstwie u Chaldejczyków," wydanem po raz pierwszy przed pięciu laty.

Czyta się je z dziwnem wrażeniem. Wszakże to nie bagatela odtwarzać myśli, które ożywiały mózgi uczonych fizyków, astronomów i lekarzy przed 30 wiekami, które karmiły wschód a wyhodowały zachód, których łuna odbiła się nad świętemi brzegami Nilu, które przetworzyła Grecja, które wreszcie Rzym upadając, po całym świecie rozsypał.

W zaklęciach tych mistycznych mędrców tkwi niezmierna siła i energja. Są to wspaniałe litanje, przepyszne hymny, w których poezja i religja łączą się z medycyną i filozofją. Tu nie ma podziału nauk i sztuk, tu pieśń jest zarazem rozprawą, obrazem, lekarstwem i modlitwą. Kapłan wzywa wszystkie żywioły, aby spełniły swe zadania, błaga, grozi i poświęca. Wzywa morze, wichry, szczyty gór, wszystkie demony i bogi złe i dobre, kończąc litanjowym zwrotem:

Duchu nieba zaklnij je! Duchu ziemi zaklnij je!
Bojaźliwa groza człowieka pierwotnego łączy się w nim z poczuciem siły budzącej się wiedzy. Magja zaczyna być wyrazem potęgi człowieka, będąc pierwej tylko uznaniem jego nicości.

Błaga, ale i grozi zarazem.

II.

Laska czarnoksięzka.

Jako nierozłączne narzędzie Chaldejskiego maga występuje już tutaj laska czarodziejska: *gis-zida*, to znaczy laska dobroczynna. Wspominają o niej Biblja, Homer, Cicero i Proclus a dziś jeszcze Robert Houdin uważa ją w swym podręczniku białej magji za niezbędny symbol kuglarskiej władzy.

Świętość stała się zabawką, ale szereg tysiący lat łączy je w jedno ogniwo tradycji.

Jest bardzo prawdopodobnem, że kapłani Azji, znając już własności magnesu, używali ich do swoich lasek czarodziejskich. Skombinowanie kilku z nich przeciwnemi lub jednoimiennemi biegunami, mogło łatwo wywoływać ruchy, takie, jakie dziś na igle magnesowej widzimy, a które w czasach kiedy życie i „duszę żywiącą" przypisywano „wszelkiej istocie która się *rusza* na ziemi", jak mówi Pismo, mogły bardzo łatwo wywołać przekonanie, iż mag, który jedną laską poruszał drugą bez dotknięcia, miał władze dowolnego ożywiania ciał martwych. Zkąd to prawdopodobnie powstało podanie biblijne o Jamnesie i Membresie, magikach Faraona, z którymi współzawodniczył zwycięzko Mojżesz. Magicy ci rzucili na piasek swoje pałeczki a te natychmiast zaczęły się poruszać jak węże. Mojżesz powtórzył toż samo w oczach Faraona, a w dodatku legenda dodaje, że jego laska pożarła dwie inne. Kapłani z Memphis podają ten fakt jako dowód wyższości ucznia nad nauczycielami. Mojżesz bowiem uczył się magji najprzód od małżonki jednego z Faraonów, wtajemniczonej w sztukę, a następnie od kapłanów egipskich.

Laskę czarodziejską uważano powszechnie jako znak władzy i wyższości umysłowej (Debay Histoire des sciences occultes.) Bogowie i półbogowie, ludzie wielcy, magicy i magiczki, dokazywali cudów za pomocą tej laski. Merkurego, Bachusa, Circe, Medeę, Pitagoresa, Zoroastra i Mojżesza przedstawiają zawsze z taką laską w ręku."

Niezwykłe swe znaczenie przechowała ona przez czasy wieków średnich a nawet aż do końca zeszłego wieku, który po raz ostatni prawdopodobnie dawną wiarę magów rozbudził.

Wedle nowszych opisów, miała ona być robioną z drzewa laskowego i to koniecznie z gałęzi ostatniego roku rozwiniętej. Ścina się ją trzeciego dnia po zmianie księżyca o północy. Nóż do tego służący musi być zupełnie nowym i nieużywanym a w dodatku należy go przedtem *poświęcić w kościele*. Po poświęceniu pisze się na ostrzu: *Agala* bliżej trzonka, we środku: *on*. a na końcu: *Tetragramaton*; pomiędzy każdem słowem znak ✕. Po tych przygotowaniach wychodzi się z domu w nowych trzewikach i z różańcem na piersiach, do gaju leszczynowego. Z uderzeniem północy ucina się laskę, wznosząc oczy ku niebu i wymawiając te słowa:

„Przez Boga żywego, zaklinam cię, słuchaj mnie" † Tu trzeba się przeżegnać. „Przez Boga świętego i prawdziwego" † „Przez Boga wszechpotężnego, zaklinam cię po trzykroć, bądź mi posłuszną!" ††† Następują trzy znaki krzyża i gałązkę odcina się. Wracając do domu należy ją trzymać na piersiach przy różańcu i ani słowa nie przemawiać do nikogo.

A teraz zobaczymy, czego można dokonać za pomocą tak zdobytej pałeczki. (C. d. n.)

Z HYGJENY SZKOLNEJ

napisał

Dr. Adam Zagórski.

II.

O przymusie szkolnym.

Według regulaminu dla szkół ludowych, obowiązującego w Państwie Austrjackiem, nie wolno przyjmować dziecka do szkoły przed ukończeniem sześciu lub po upływie czternastu lat życia. Ustawa szkolna pruska z r. 1819 naznacza ten sam wiek.*) Paragraf 21 ustawy szkolnej francuskiej z dnia 10. kwietnia 1867 roku mówi: „Nie można przyjmować dzieci do żadnej szkoły publicznej lub prywatnej przed ukończeniem sześciu lat, tylko za pozwoleniem władzy departamentalnej, jeżeli się znajduje w gminie jaka ochronka." Paragraf 10 regulaminu szkolnego podobnież mówi: „Aby być przyjętem do szkoły gminnej, dziecko nie powinno być młodsze jak sześć ani starsze jak 13 lat."

„Jednakże w gminach, gdzie nie ma ochronek, można przyjmować dzieci młodsze lub starsze nad wiek przepisany za pozwoleniem władz miejscowych."**)

Ze zgodności tych ustaw jest rzeczą widoczną, iż powszechnie się przekonano, że ukończony szósty rok życia, daje dziecku możność rozwijania się umysłowo i że od tego roku chodzenie do szkoły nie szkodzi jego zdrowiu. Mimo tego jednakże niektórzy lekarze powstali przeciw

*) *Baginsky.* Handbuch der Schulhygiene.
**) *A. Riant.* Hygiene scolaire.

rozporządzeniu. Jedni radzą później, drudzy wcześniej, inni wreszcie uznają czas drugiego ząbkowania za najodpowiedniejszy do rozpoczęcia nauki. Słusznie jednak *Falk* utrzymuje, że w tym względzie lekarze nie są kompetentniejsi jak pedagogowie. Natura nie przedstawia żadnych danych do oznaczenia stanowczego terminu; nie ma w życiu człowieka żadnych gwałtownych skoków, ani raptownego przybytku sił odpowiednich dla nauki. Ze strony lekarskiej można tylko radzić wolne wdrażanie organizmu dziecka do nauki, powolne przejście od zabawy do pracy. Ogródki Fröblowskie mają dla tego tak wielką wartość pedagogiczną i hygjeniczną, i państwo, które wprowadza przymusowe uczenie, powinno także przymusowo zaprowadzić te ogródki, albo przynajmniej je popierać. W ten sposób ustanie niepewność co do oznaczenia wieku, w którym się ma rozpocząć przymusowe chodzenie do szkoły; bo się wypełni pozorna szczerba w rozwijaniu i usunie gwałtowny skok. Z drugiej jednak strony należy uważać, aby i ogródki Fröblowskie nie wprowadzały przymusowej nauki, lecz należy dziecko poduczać o tyle, o ile się stopniowo rozwija tak duchowo jako też i cieleśnie. Wiadomo, że niektóre dzieci nadzwyczaj szybko się rozwijają duchowo w stosunku do swego wieku, takie dzieci trzeba powstrzymać i unikać pobudzania ze strony starszych osób, aby wskutek zawczesnego duchowego przybytku nie nabawiły się jakiej choroby. Jeżeli więc nauka lekarska nie umie naznaczyć innego terminu przymusowego uczenia, w takim razie wymaga, aby to nie zaczynało się z początkiem siódmego roku, lecz było już wcześniej zwolna przygotowane. O ile jest to obowiązkiem państwa lub rodziców, rozstrzygnięcie tej kwestji nie należy do hygjeny.

Nie da się jednak zaprzeczyć, że są wyjątki, w których państwo musi ustąpić od trzymania się ściśle oznaczonego terminu, przynajmniej na pewien czas. W tych to właśnie wypadkach decyduje lekarz; i chociaż ustawa oznacna jeden wiek dla wszystkich dzieci, zadaniem hygjeny jest wykazać, o ile to się da zastosować do pojedynczego indywiduum.

Postawimy więc następujące pytania: Czy istnieją takie objawy w organizmie dziecka, któreby mogły ograniczyć ogólne prawo przymusu szkolnego? Jakie są one mianowicie? i w jaki sposób można to ograniczenie stwierdzić na podstawie nauki?

Jest bardzo wiele dzieci, które nie powinny chodzić do szkoły pomimo rozpoczętego siódmego roku życia, nie dlatego że są niedojrzałe, lecz że na to nie pozwala ich organizacja. Przedewszystkiem wspomnieć muszę o *odziedziczeniu*. Dzieci niezdrowych rodziców, chociażby nie były chore, są zwykle delikatniejsze i mają słabszą konstytucję. Najważniejszą chorobą są suchoty płuc. Dzieci takich rodziców nie powinny już w siódmym roku rozpoczynać szkoły i chociaż fizycznie wyglądają świeżo i zdrowo, należy jednak o tem pamiętać, że zawsze nad niemi wisi miecz Damoklesa, a nieszczęsna choroba rozwija się zwykle dopiero w czasie dojrzewania, to jest, przy przejściu w wiek młodzieńczy. Błędy w wychowaniu, zawczesne i zaenergiczne kształcenie sił duchowych wywołują smutne następstwa nie zaraz lecz później, którychby można uniknąć, zachowując pewne ostrożności. Wieleż to pięknych, nadziei rodziców i nauczycieli pochowano w grobie! Słusznie więc można zapytać, w którym roku ma się rozpocząć nauka u takich dzieci? Nie można jednak w ogólności odpowiedzieć na to pytanie, lecz należy uwzględnić pojedyncze wypadki, i o takich może tylko lekarz zadecydować. Szkoła powinna także mieć baczne oko na te dzieci, oszczędzać je i stopniowo rozwijać.

Na szczęście mało jest takich chorób, któreby miały wpływ na organizm następnych generacji. Tu należą choroby umysłowe i nerwowe, a z ostatnich głównie padaczka. Dzieci rodziców umysłowo lub na padaczkę chorych muszą być także w szkole oszczędzane i powinny później rozpocząć szkołę. Zresztą w pojedynczych wypadkach tylko lekarz może rozstrzygnąć. Jeżeli rodzice są biedni i trzymają dzieci w ciasnych i niezdrowych izbach i obchodzą się z niemi ostro, a tym sposobem pobudzają niejako rozwój drzemiącego jeszcze zarodu choroby, w takim razie lepiej będzie, gdy wcześniej zaczną chodzić do szkoły, która dla nich może się stać rzeczywistym zakładem hygjenicznym.

Chociaż kwestja ta wydaje się słuszną tylko w teorji, można ją jednak przy dobrych chęciach przyprowadzić i w praktyce. W wielu razach wystarczy pojedyncze pytanie o stanie zdrowia rodziców, w innych rozstrzygnie przyczyna śmierci ojca lub matki, czy dziecko ma w prawnie oznaczonym terminie rozpocząć szkołę. W małych gminach można dokładnie znać domowe stosunki każdej rodziny.

I tak przy pomocy ocenienia lekarskiego mamy grupę dzieci, które stają po za prawnie oznaczonym terminem. Ważniejsze jednak od własności ciała rodziców są własności ciała dzieci.

Zdawałoby się, że dzieci źle rozwinięte pod względem wielkości i wagi ciała, dają łatwy sposób do rozróżnienia dzieci dojrzałych od niedojrzałych do przyjęcia do szkoły. Teoretycznie nie dałoby się przeciw temu nic zarzucić, w praktyce jednak stosunki są obecnie jeszcze tego rodzaju, że niepodobieństwem jest powyższą myśl wprowadzić w wykonanie. Chociaż niektórzy lekarze i pedagogowie zajęli się mierzeniem wzrostu i ważeniem dzieci i przekonali się, że tak wzrost jakoteż i waga dziecka podwaja się w siódmym roku życia w porównaniu z dzieckiem nowonarodzonem, nie można jednak przeciętnej wagi i wzrostu stosować do dzieci całego kraju lub nawet powiatu. Prawie w każdej gminie różnią się dzieci od siebie wzrostem i wagą; należałoby w każdej gminie wynaleść przeciętną i mierzyć i ważyć wszystkie dzieci od 6—8 lat. Byłoby to bardzo wygodnie ze względów pedagogicznych, boby się unikało przepełnienia klas, odsyłając dzieci małe i szczupłe jeszcze na rok do domu.

Jeżeli dzieci niewyrośnięte uważamy za niedojrzałe do szkoły, nie rozumiemy przez to, że one i duchowo są niedojrzałe; przeciwnie! zdarza się często, że dzieci rozwijają się duchowo bardzo szybko na koszt swego ciała, lecz właśnie takie dzieci należy w domu pozostawić jeszcze na rok jeden, co dla ich ciała będzie z wielką korzyścią.

Zadaniem hygjeny jest: postawić jako niezbite prawidło, aby dzieci cierpiące na krzywicę (angielską chorobę) i złośliwą formę skrofułów, nie wspominając nawet o suchotach, rozpoczęły szkoły aż w rok po oznaczonym terminie. Ponieważ wielkość i waga ciała nie mogą być z pożytkiem uwzględnione, więc w każdym wypadku tylko lekarz rozstrzygnąć może.

Z tego, cośmy powiedzieli, wynika, że przyjęcie dziecka do szkoły ma zależećod orzeczenia lekarza, który powinien mieć niezaprzeczone prawo czuwania na szkołą.

III.

O ubraniu młodzieży szkolnej.

Nie możemy szczegółowo zastanawiać się nad ubraniem dzieci, wchodzi to bowiem w zakres hygjeny prywatnej; wspomnimy tylko w ogólności o ile to się dotyczy szkoły. Szkoła ma się zajmować przedewszystkiem zewnętrzną stroną ubrania, a więc głównie czystością. Nieczystość jest nietylko źródłem rozmaitych chorób, lecz także oznaką duchowego zacofania i brakiem wyższego poczucia umysłowego.

Codziennie po otwarciu szkoły nauczyciel lub nauczycielka powinni odbyć przegląd porządku u dzieci. Stosuje się to nietylko do twarzy i rąk lecz także i do włosów. Nieczysto ubrane dzieci, nieuczesane, nieumyte z poplamionemi i zakurzonemi sukniami nie mogą być cierpiane w szkole, lecz natychmiast powinny być odesłane do domu. Ważną rolę odegrywa czystość bielizny.

Równie szkodliwą jest elegancja i pretensjonalne ubranie. Nauczyciele powinni pod tym względem być nieubłagani szczególniej w wyższych szkołach żeńskich i takie dziewczęta odsyłać do domu, aby tym sposobem zmusić rodziców do skromnego ubierania ich. Próżność w ubraniu i zdrowie są to dwa najwięksi nieprzyjaciele choćby nawet dlatego, że wydaje się pieniądze na eleganckie ubranie, a nie ma za co kupić lepszego pożywienia lub wynająć zdrowego mieszkania. Niejedna familja żyłaby w lepszych stosunkach zdrowotnych, gdyby pani domu nie obracała tak zwanych oszczędności na przystrojenie siebie i swoich dzieci, nie mówiąc o złym wpływie próżności na kierunek umysłowy, charakter i pojęcia dzieci.

Tu należy także zwyczaj noszenia gorsetów czyli sznurowania, szkodliwego tak pod względem estetycznym jakoteż i zdrowia. Łatwiej jest zakazać zbyteczny strój, jak żądać od dzieci, aby miały całe ubranie i buty. Tu spotyka się hygjena z złośliwą potęgą, *dura necessitas*, której przy najlepszych chęciach trudno zaradzić. Jest wprawdzie obowiązkiem gminy biedne dzieci, chodzące do szkoły, ubierać i żywić, lecz niestety często gmina jest tak biedna, że zaledwie może nauczyciela utrzymać.

Życzyćby sobie należało, aby państwo we własnym interesie zajęło się takiemi biednemi, to jest aby żywiło i odziewało dzieci, chodzące do szkoły, byłyby to kapitały, umieszczone na bardzo wysokie procenta, bo dałyby krajowi zdrowych i wykształconych obywateli. Szczęśliwszą jest w tym względzie Francja, gdzie prawie każda szkoła ma swoją kasę, powstałą ze składek prywatnych. Na mocy okólnika ministerjalnego z dnia 12 maja 1867 roku kasa taką oddaną jak pod nadzór rady gminnej i przeznaczoną jest na kupowanie nagród dla pilnych dzieci, ubrania dla biednych, jedzenia dla takich, które mieszkają daleko od szkoły i lekarstw dla chorych.

Nauczyciele powinni także uważać aby dzieci nie siadały w ławkach w przemoczonem ubraniu z ziębniętemi nogami i rękami. Przedewszystkiem powinny się osuszyć i ogrzać, a potem dopiero zasiąść do nauki.

W końcu podnieść muszę sposób noszenia książek do szkoły. Wskutek dźwigania pod pachą znacznej ilości książek, wywołuje się zmęczenie

mięśni ramienia i skrzywienie stosu pacierzowego, a gdy książki niesie się w rękach, powstaje w skutek natężenia drżenie w palcach przy pisaniu, lub w czasie mrozów odmrożenie. Książki mają być w tornistrach na plecach, co wpływa nawet bardzo korzystnie na rozwój klatki piersiowej i pobudzanie oddychania.

Z Wiktora Hugo.

(Z najnowszego poematu „La pitié suprême".)

II.

Patrzcie! Dziecię; pięć latek. Wśród listków wiosennych
Nie ma tak lubej, lśniącej, rozkosznej ptaszyny.
Błogosławieństwo zda się, spływa z tej dzieciny;
— Kocham was, mnie kochajcie, mówią jego oczy;
Stworzyła je łagodność i powab uroczy:
Chociaż nic nie rozumie, przecież tak świetlane,
Jak jutrzenka ze zmierzchem w jeden odblask zlane.
Jest tak pięknem, że kościół chyba z baśnią mglistą
Musiałby, chcąc utworzyć tę główkę przeczystą,
Złączyć dzieciątko Jezus z Kupidynem razem.
Wzrok jego—przebaczenia słodkiego wyrazem;
Tak, że najdzikszy człowiek staje zachwycony
Przed tem jasnem dziecięctwem i jest bez obrony.
Ono baranek biały, jego złote włoski
Promienieją; śpiewając, pieszcząc się, bez troski,
Jest tak czułem, tak dobrem, jak gdyby co tylko
Na ziemię, z nadpowietrznych sfer zeszło przed chwilką.
Aniołek wykąpany w gwiaździstej powodzi.
Patrzcie! na tron wstępuje! Nie, ono nań schodzi.
A jednak... znać w niem duszę biedną co się miota,
Posępną i głęboką znikomość żywota.
To człowiek, którym chwieją troski i nadzieje;
To rozkoszna bezsilność w tem dziecku jaśnieje,
Smutna ludzka ułomność co drży przed niedolą,
Miesza się z jego białą, czystą aureolą.
A kroki jego trwożne, czoło się ugina.
Nie mniej przeto niewinne, wolne jak ptaszyna
Roztacza w koło siebie miłość i piosenkę,
I raj najcudowniejszy i złotą jutrzenkę.

A teraz, patrzcie! Człowiek; Villeroy z imienia;
Staje przy dziecku. Ono patrzy nań bez drżenia,
I człowiek ten, tam, z góry Wersalskiego ganku
Ukazuje mu w głębi tłum, co bezustanku
Rusza się, drży i chwieje, zastanawia, kroczy...
Wielkie mrowisko ludzkie! Czoła, usta, oczy,
Szorstkie, żylaste dłonie, rozrosłe ramiona,
Miasto—jak falująca masa niezmierzona,
Spokojne i poważne, święte trudem swoim.
I rzecze do dziecięcia: — Cały ten lud — twoim.

Ta rzesza mężczyzn, kobiet, dzieci — twoja cała;
Ty posiadasz ich dusze, posiadasz ich ciała;
Twojemi są ich domy, ich krew i ich złoto;
Ich schronienia są twoje; ten przechodzień oto
Jest twoim — gdy chcesz — umrze; skiń—a co chcesz—będzie.
Wszelkie życie jest twojem i zawsze i wszędzie.
Ten starzec z siwym włosem, to rzecz, tobie dana;
Ludzie — na to by gięli przed tobą kolana;
Tyś jeden jest stworzony ażeby stać—silny;
Wszyscy błądzą, tyś jeden tylko nieomylny.
Bóg widzi ciebie tylko wśród tej całej rzeszy;
Twoje prawo jest Bożem i nigdy nie grzeszy.
Wy dwaj rządzicie; reszta — powinni być niemi;
On jest wszystkiem na niebie, ty wszystkiem na ziemi.
Jesteś jego ramieniem, pełnisz jego wolę;
On jest królem tam, w górze—ty Bogiem tu, w dole.
Cały ten lud jest twoim.
Biedne dziecię słucha.

Kto to mówi? Zapewne to głos złego ducha.
Nie, to człowiek; że pełza, tem bardziej nikczemny;
Służalec, to wąż brudny, płód jaskini ciemnej,
To zaraźliwy oddech zepsutego łona.
Trucizno! najzjadliwsza: miodem zaprawiona!
O zbrodnio! najczarniejsza: pochlebstwo dworaków!
Oślepiać duszę zeszłą z ponadziemskich szlaków!
Zanurzać w dumę umysł co rozwija loty!
Przekształcać uśmiech dziecka, w swawolę despoty!
Wypiastować tyrana, samoluba, który
Pragnąłby słońce ukryć w fałdy swej purpury,
Co mówi: jestem ołtarz święty i proroczy,
Dla którego: zło, dobro, zapłakane oczy,
Ofiara, praca, człowiek — istota żyjąca
Jest cieniem, i mgłą, które lada wiatr roztrąca!
Rzucić z uśmiechem podłym, jak słodycz zdradziecka,
Cały naród zabawką — w wątłe ręce dziecka,
I oboje pogrążyć w przepaście bez miary!
Myślicielu! łzę uroń! to są dwie ofiary!
Żałuj lud, lecz i dziecka nie piętnuj przekleństwem!
O matki! miejcie litość nad biednem maleństwem!
Podczas, gdy mu na duszę rzuca się morderca,
Wydziera z piersi miłość i łagodność z serca,
Grabi dobre popędy i dusi w swej dłoni,
Ono stoi samotne i nic go nie broni.
O wychowanie! jasna ludzkości pochodnio!
Ty jesteś dobrodziejstwem, albo jesteś zbrodnią!
Słaba główka dzieciny, pod władzą idjoty!
O nikczemne pochlebstwo! co promienne cnoty
Nieskończoność, najczystsze świętych prawd pojęcia
Miesza, płacze, przygniata w umyśle dziecięcia!
I sprawia, że następnie, fałszem upojony
Człowiek, słaby, ułomny, z kobiety zrodzony,
Stawia swą ciasną czaszkę, co próchnem zaświeci,
Na równi z czołem Boga, duchem wszech stuleci,
Z głębią niebios, zkąd płyną blaski i nadzieje,
Z wielką myślą otchłani, gdzie wiecznie goreje
Straszny wschód konstelacyj, wśród zmierzchu i cienia!

* * *

I jest Ludwik piętnasty.

* * *

O przeobrażenia!
Rzecz skończona! juz dziecko chwyta czarę w dłonie,
Jego słaby rozsądek omdlewa i tonie...
— Cały ten lud jest twoim—głos—zkąd Tyberjusze!
Nektar, który upaja najsilniejszą duszę!
Dziecko chciwie tę rozkosz-trucizne połyka,
Coś w niem za każdą kroplą gaśnie i zanika,
I już na zawsze idąc przez życia koleje
Wędrowiec stromych szczytów, waha się i chwieje.
— Cały ten lud jest twoim! straszliwe wyrazy!
Dziecię myśli, powtarza je sobie sto razy,
Głupia radość i nuda dręcząca nieznośnie,
Ktoś, co niem nie jest—w niem się rozwija i rośnie,
Ciemnota i pogarda w serce mu się wplata,
I po cóż czytać książkę gdy się panem świata?
Pracować, i dociekać nie jest-że szalonem?
Wszak się jest królem Francji, bezgrzesznym! Burbonem!
Och! pomyśleć, że berła, te miecze, te trony!
Rodzą nicość, rojenia! zemstę, gniew szalony!
Że ta jasność zabija kogo ma w swej mocy!
I że ten blask niezmierny, pochodzi od nocy!

Tak więc ziemia jest jego; mężczyźni, kobiety,...
Namiętności go palą; a w miarę podniety
Wola staje się dziksza, zuchwalsza co chwila.
Dziecko rośnie; i widać już jak się wychyla
Szpon tygrysa z pod białych archanioła skrzydeł.
Nie wie jak się przekształca; wśród złudnych mamideł
Nie poznaje się głupiec! nie poznaje pjany!
Istnieje po za prawdą, mrzonkami ścigany,
Z dziką w piersiach chimerą, bez kropli ludzkości.
Jest zuchwalcem, cynikiem aż do nikczemności,
Myśli że wstrząsa niebem, a piekło w nim wyje;
Mówi: wolno mi wszystko! ja sam jeden żyję!
Sądzi mieć pod stopami prochy gwiazd, szalony!
Zdobył przyjemność! mniejsza o ruin miliony!
Burzy się, dokąd tego, co żąda, niedopnie,
Codzień niżej się stacza na bezwstydu stopnie,
Tryumfator! Dziewice w prostytutki zmienia!
Jemuż się lękać prawa, opinii, sumienia?
Czyż nie jest właścicielem i królem i panem?
Krew mężów, honor kobiet, wszystko dlań jest danem.
Wszystko ściga co piersią zapragnie namiętną;
Każda zbrodnia z kolei kładzie nań swe piętno,
Naigrawa się, upiór! krzywdę wyrządziwszy,
Wszystkich wielkości groźny płód najobrzydliwszy,
Istota bez imienia, która się wyrzeka,
Jakkolwiek prochem tylko jest, znamion człowieka;
Pyszny, pnie się, nie wiedząc kędy do gwiazd droga,
I staje się potworem—nie dosięgłszy Boga.

M. Rodoć.

DZIECI HELENY.

POWIEŚĆ.

Przekład z angielskiego.

(*Dokończenie*).

Nazajutrz rano obudziwszy się, ujrzałem znowu liścik wsunięty pod drzwi mego pokoju i wprawdzie znów doznałem rozczarowania nie widząc na adresie pisma mej ukochanej, ucieszyłem się jednak i z listu mojej siostry, zwłaszcza, że zawierał dobrą wiadomość.

„Drogi, poczciwy braciszku — pisała — wiedząc z własnego doświadczenia czem są konkury w dworku wynajętym gościom na letnie mieszkanie, postanowiliśmy z Tomem co prędzej powrócić do domu, aby podać Alicji i tobie sposobność widzenia się parę razy w naszym saloniku, gdziebyście nie mieli dwunastu nieproszonych gości na godzinę. Plan ten jest moim pomysłem, ale posłuszny mój mężulek, jak zawsze, zgadza się ze mną; proszę cię więc wyszlij po nas powóz w piątek rano na pociąg nr. 11, 40. Zaproś Alicję z matką do nas na objad w niedzielę; wstąpimy po nie z kościoła. Bądź zdrów! do widzenia.

Twoja siostra Helena.

P. S. ma się rozumieć, że zabierzesz dzieci na stację.

Poczciwa Helenka! jakże domyślne ma serce! Pisze, że w piątek rano przyjadą, przecież to właśnie dziś piątek! Wpadłem do pokoju chłopców wołając na cały głos:

— Edziu, Charley'u! zgadujcie kto dziś przyjedzie?!

— Kto? — powtórzył Edwardek.

— Kuglarz? — pytał Karolek.

— Nie, wasz tato i mama!

Edwardek w tej chwili miał pozór aniołka, a oczy Charley'a już mrugały, gdy pochmurno zauważył:

— Myślałem, że kuglarz.

— O wujciu Harry! — wołał Edwardek, wyskakując z łóżka w szale radości. Doprawdy, że gdyby mój tato i mama dziś jeszcze nie przyjechali, to-to chybabym umarł. Tak mi już było tęskno za nimi, żem sobie rady dać nie mógł. Popatrz jak dużo płakałem przez noc, cała poduszeczka mokra.

— Jakto? mój biedny Edwardku! czegożeś mnie nie zbudził? — zawołałem podnosząc go i całując.

— Nie mogłem; gdy mi się zrobi tęskno, to nigdy o tem mówić nie mogę; tak jakby mi kto usta zasznurował, jakby jaki duży kamień był we mnie i Edwardek położył rączkę na piersiach.

— Gdyby jaki duży kamień był we mnie, tobym go zaraz wypluł — oświadczył Charley.

— Charley'u — spytałem — prawda że się bardzo cieszysz, że mama i tata już wracają?

— Tak; mama mi zawsze przywozi cukierki gdy zkąd wraca.

— Charley'u, jesteś interesowanym chłystkiem.

— Nie jestem tresowanym Łyskiem; jestem: Master Charley Lawrence.

Niemniej jednak i on spieszył się z ubraniem; cukierki były zawsze u niego głównym motorem działania, więc też i teraz, szybkość z jaką się pakował w swoje sukienki była zadziwiającą.

— Czekajcie chłopcy — zawołałem — przecież dzisiaj trzeba wziąć świeże sukienki. Sami pewno nie chcecie, żeby was mama i tato brudnych zastali.

— O pewnie — zawołał Edwardek.

Charley zaklaskał w rączki z radości, i zaczął dysponować jak ma mieć wyszwarcowane trzewiczki, a jaki pasek, jaki kapelusik; wszystko w swoim dziecinnym języku, tak, że nieraz musiałem udawać się po objaśnienia do starszego z braci. Nareszcie uparł się, żeby wziąć swoje nowe czerwone rękawiczki. Daremnie chciałem mu przełożyć, że za gorąco teraz na coś podobnego; użył zwykłej swej broni: wykrzywienia ust do płaczu; mnie znów, zależało na tem, żeby oczka jego nie były wilgotne, gdy matka pierwszy raz w nie spojrzy, więc zezwoliłem już na wszystko. Przyszło mi tylko na myśl, że w Charley'u odrodziło się owo upodobanie w fatałaszkach i strojach, za które zwykle tak prześladowałem Helenkę.

— Wujciu Harry! — zawołał Edwardek — przywiozę mamę do domu w swoim nowym wózku.

— Kozioł nie ma dosyć siły, żeby mamę i ciebie uciągnąć — przekładałem.

— To przynajmniej sam nim pojadę aż na stację; żeby tylko mamie i tacie pokazać, że mam kozła. Pewny jestem, że mama bardzo by się zmartwiła gdyby się potem dowiedziała, że mam kozła i wózek, a nie pokazałem jej tego wszystkiego zaraz na stacji.

— Dobrze, dobrze Edwardku pojedziesz, tylko musisz powozić bardzo ostrożnie. A teraz chłopcy, nigdzie mi nie wychodźcie, żebyście się nie zabłocili; bawcie się już w pokoju dziś rano.

— Zdaje mi się, że słońcu będzie przykro gdy nie będzie mogło na nas patrzeć — zawahał się Edwardek.

— Ej, co tam — odrzekłem — słońce już dosyć stare, miało czas się nauczyć cierpliwości.

Po śniadaniu, gdy chłopcy na wpół niechętnie odeszli się bawić do swego pokoju, ja zajrzałem jeszcze do każdego kąta, żeby się upewnić czy moi gospodarze wszystko zastaną w porządku. Dolar ofiarowany Małgosi i Filipowi, zyskał mi chętną ich pomoc w ostatecznych urządzeniach, i nareszcie pozostało mi już tylko przybrać pokoje kwiatami. W dziecinnym pokoju usłyszałem szmer jakiś przy umywalni, która stała w alkowie; a zajrzawszy tam, zastałem Charley'a, jak dopijał resztki z jakiejś ciemnej flaszeczki.

— Zażywam czarne lekarstwo — zawołał ujrzawszy mnie — strasznie lubię czarne lekarstwo.

— Z czegożeś je zrobił? — spytałem z zajęciem — bo obudziło się we mnie wspomnienie, jak w dziecinnych latach, ja i Helenka lubiliśmy się bawić w aptekę, i tworzyć lekarstwa dolewając różnych soków do wody.

— Zrobił z *misturki* sodowej.

To również było jednem z ulubionych *lekarstw* w naszem dzieciństwie, ale trzeba je już było umieć sporządzać podług przepisu, a użyte w zbytecznej ilości mogło nawet zaszkodzić. Biorąc do ręki sporą, dwu-uncjową flaszeczkę, spytałem wiele z niej zażył?

— Całą buteleczkę; dobre było.

Nagle wzrok mój padł na przylepioną karteczkę: *Pare-Goric* przeczytałem. W jednej sekundzie schwyciłem był pierwszy pled co się nawinął, obmotałem nim Charley'a, wcisnąłem go jak jaki tłumok pod pachę, i byłem w drodze do stajni. Za chwilę pędziłem konno, co sił starczyło do wioski; Charley wrzeszczał mi pod pachą, a złote jego włosy wiatr rozwiewał. Ludzie wychodzili z domów i oglądali się za nami; nawet stary jakiś rolnik huknął na mnie: „Stój złodzieju!“ sądząc zapewne, że uciekam z porwanem dzieckiem. Przed drzwiami apteki wstrzymałem konia, i wpadłem wewnątrz wołając:

— Dawaj pan dziecku silny emetyk, prędko! Połknął truciznę!

Aptekarz poskoczył do swoich flaszeczek i tygielków, jakaś staruszka Irlandka, którą się przed chwilą zajmował, krzyknęła: O święta Matko Panienko! biegnę po ojca O'Kellego, a Charley, który jeszcze nie poczuł działania trucizny, chwycił za ogon kota aptekarskiego, co wywołało głośny protest ze strony zwierzęcia.

Co dalej nastąpiło, było więcej zbawienne niż przyjemne do opowiadania lub opisywania; koniec końców, Charley uratowany, choć trochę lżejszy i bledszy niż przed tem, znów się zwrócił do kota pod stołem.

Ojciec O'Kelley przybył spiesznie; ale przyznać muszę, że się tylko ucieszył, widząc że jego usługi nie będą potrzebne; choć ja go zaręczyłem, że jeżeli święcona woda ma władzę wypędzenia ducha złego, tobym chętnie i skąpać w niej dał Charley'a. Spokojnie powróciliśmy do domu, a gdym dawał Małgosi polecenie aby się starała pacjenta mego uspić na godzinkę, usłyszałem jak właśnie rozpowiadał starszemu bratu:

— Edwardku, u psztykarza byłem lewiorybiem. Prawda, że nie połknąłem Jonasza, ale za to wyrzuciłem masę rzeczy.

Całą następną godzinę poprzedzającą jeszcze wyjazd na stację, zajęty byłem czuwaniem żeby chłopcy nie zabrukali sukienek, ale usiłowania moje okazały się tak bezskuteczne, że mi to humor zepsuło. Najpierw uparli się bawić na łące jeszcze zaroszonej; potem gdym się tylko na chwileczkę oddalił dla zapalenia cygara, Charley ze swymi mokrymi trzewiczkami, polazł na środek gościńca, gdzie proch był po kostki. Dalej, mile te dzieci wycierały kolanami cały ganek, łażąc na czworakach dla udawania niedźwiedzia. Każdy z osobna chciał robić bukiet dla matki, i Charley póty wąchał każdy kwiat jaki napotkał, aż ufarbował sobie koniec nosa pyłem lilji ognistej, i nie chciał dać go obetrzeć. W jednym ze zdarzających się jednak napadów bezczynności, Edwardek mnie zapytał:

— Wujciu, dlaczego to tylu ludzi w kośc ele nie ma włosów na czubku głowy?

— Bo widać mają niegrzecznych chłopców, którzy ich dręczą cały dzień boży, tak że im aż włosy wypadają — odrzekłem strząsając z siebie Karolka, który tymczasem próbował mi chustkę wyciągnąć z kieszeni.

— To mnie już pewno wkrótce włosy zaczną wylatywać — zauważył z miną urażoną Charley.

— Zaprzęgaj konie, Filipie — krzyknąłem.

— I kozła — dodał Edwardek.

— Filipie — zawołałem — zapomniałem powiedzieć Małgosi, żeby miała jakie śniadanie gotowe dla państwa gdy wrócą, idź jej to powiedz.

— Ta pewnie — potwierdził Filip odchodząc.

— Czyście całkiem gotowi, chłopcy? — spytałem. — Nie, nie, połóż ten bat Edwardku! Przez całą drogę ani się nim dotknij kozła. Ja będę jechał przodem i bardzo powoli, mamy dosyć czasu.

— Dobrze — rzekł Edwardek manipulując coś koło dyszla i kozła; — ale ja lubię wyglądać jak mężczyzna gdy powożę.

— No, no, zostaw to sobie na inny raz — odpowiedziałem ruszając z przed ganku.

Konie szły lekkim truchtem, a kozioł trop w trop za niemi. Byliśmy jeszcze o pięć minut drogi od stacji, gdy ujrzałem już nadjeżdżający pociąg; miałem zamiar oczekiwać Heleny i Toma na peronie, więc widać, że się mój zegarek spóźniał. Zaciąłem konie i obejrzałem się na chłopców, którzy ciągle tuż za mną dążyli; wtem odwracając głowę, spostrzegam się tak blisko platformy, że tylko nadzwyczaj nagły zwrot mógłby mnie uchronić od mogącego być groźnym przypadku; szlachetne zwierzęta w jednej chwili pojęły niebezpieczeństwo, i skręciły w podziwu godnej małej przestrzeni. Jednocześnie usłyszałem za sobą dwa krzyki, i dwa suche twarde uderzenia o drewnianą ścianę małego magazynu; obu moich siostrzeńców do góry nogami na platformie, a któryś ze znajomych woźniców huknął mi w samo ucho:

— Na co, u licha, dałeś im pan przywiązać tego kozła do swego powozu?

Jedno spojrzenie przekonało mnie, że ten człowiek miał słuszność. Jakim cudem kark i łopatki kozła zachowały swą normalną pozycją podczas ostatnich kilku chwil mojej jazdy, tego pojąć nie byłem w stanie i zostawiam naturalistom do wyjaśnienia. Dzieciom na szczęście nic się nie stało, bo uderzyły się głowami, a czaszka Lawrence'ów jest sławna z twardości. Popodnosiłem ich, otrzepałem z kurzu, obiecałem im tyle cukierków ile zjeść będą w stanie przez tydzień, obtarłem oczka wilgotne, i pociągnąłem za sobą na peron. Edwardek popędził do Toma wołając:

— Popatrz na mego kozła, tato!

Helenka otworzyła ramiona, i Charley rzucił się w nie łkając:

— Ma-mo! śpiewaj o kotkach!

Czułem się zmięszany jakby jaki winowajca, ale poczciwa Helenka, rzuciła mi wejrzenie, tak pełne humoru, przywiązania, i wyrozumienia, że mi się wnet na sercu ulżyło; a gdy mnie po powrocie do domu raz jeszcze uściskała serdecznie, winszując mi mego szczęścia, czułem się z nią więcej zbliżony niż kiedykolwiek przed tem.

Cały dzień do wieczora przeszedł rozkosznie; najpierw miła, familijna pogawędka przy śniadaniu, wznoszenie toastów na cześć jej i jej matki i przyszłej konsolacji. Potem Helenka zawołała: „Zdrowie dziewosłębów tego małżeństwa, Edzia

i Charley'a!" co zostało przyjęte oklaskami. Wprawdzie wymienieni gentlemani nie odpowiedzieli na nie, ale wyglądali tak zabawnie, że poskoczyłem ich obu uściskać.

Później Helenka poszła do dworku p. Clarkson *jedynie* w celu pokazania jednej z pań tamtejszych, która miała sobie suknię przerabiać, w jaki sposób widziała podobną toaletę całkiem modnie odnowioną. Alicja wysunęła się do furtki *tylko* żeby się z nią przywitać; a Helenka tak się z nią rozgadała o pobycie u Wayne'ów, że pociągnęła ją, by weszła już spocząć do nas, a zostanie odwieziona powozem. Potem wysłano Filipa z karteczką do Mrs Mayton, aby donieść, że jej córka zmuszoną została do pozostania na obiedzie. Dalej Tom przypomniał sobie, że *musi* dziś jeszcze udać się na jakieś tam zgromadzenie wyborcze; a Helenka prosiła, żebyśmy ją mieli za wytłumaczoną, bo *musi* pobiegnąć na chwilkę do doktorstwa, dowiedzieć się o zdrowie biednej pani Brown; i poczciwa dusza! dowiadywała się też o to całe trzy godziny, i jeszcze dwadzieścia pięć minut.

Groźny koniec mego urlopu nie sprawił mi tyle przykrości jak się tego obawiałem. Helenka raz w wieczór zauważyła, że nie pojmuje dlaczego, kiedy jej biedny, drogi Tom, codzień jeździł tam i nazad do Nowego Yorku, jej barczysty, leniwy brat nie mógłby robić tak samo, gdyby mu ona ofiarowała stół i mieszkanie u siebie do końca lata. Myśl ta dziwnie mi się podobała. Co więcej nawet, zakupiłem śliczny kawałeczek ziemi w sąsiedztwie, i teraz co wieczór po obiedzie stół zasypany jest planami dworków i willi, nad którymi pochyla się i radzi czworo szczęśliwych ludzi; w ich liczbie znajduje się niejaki komisant jednego z głównych domów handlowych Nowego-Yorku, i pewna młoda lady, z promiennemi oczyma, i twarzyczką jaśniejącą wdziękiem róż i lilji. Dama ta ma swoje własne poglądy co do zalet wszystkich podawanych planów; zastrzega sobie zwłaszcza, że którykolwiek ma być przyjęty, musi mieć śliczny i miły pokoik na wyłączną własność chłopców Helenki. Jakkolwiek młodymi są ci dżentlemani, dają mi jednak nieraz pole do zazdrości; podstępem chyba jestem w stanie zapobiedz żeby nie zabierali na wyłączną swą własność drogiego czasu osoby, której towarzystwa ja nigdy nadto mieć nie mogę. Upiera się ona, aby oni byli drużbami przy naszym ślubie w listopadzie, i pewny jestem, że postawi na swojem. Przyznać bo muszę, że i sam nieraz, chwytam się na przyjacielskich względem nich zabiegach, i wyrzucałbym sobie czarną niewdzięczność, gdybym którego wieczora zapomniał ich jeszcze w łóżeczku uściskać i boskiej polecić opiece. Bo też jest czego być wdzięcznym gdy pomyślę, że zapewne dotąd nie byłbym się zdobył na odwagę sięgnięcia po rękę dumnie pięknej, choć najlepszej w świecie Alicji Mayton, gdyby nie Dzieci Heleny!

Piśmiennictwo polskie.

(Dzieje Polski w zarysie przez Michała Bobrzyńskiego. Warszawa i Kraków. 1879. — Dzieje ojczyste ze szczególnem uwzględnieniem historji Galicji, zastosował M. Chyliński, Kraków 1879.)

W krótkim wstępie ocenia autor dwie szkoły historyczne w Polsce: Naruszewiczowską i Lelewelowską. Nieznajomość źródeł, zaskorupienie i płytka deklamacja nie pozwoliła Naruszewiczowi i jego kontynuatorom i naśladowcom przedstawić dziejów polskich w należytem świetle. Uprzedzenie i brak ścisłej metody a także nieznajomość wielu źródeł były przeszkodą szkole Lelewelowskiej w zbliżeniu się ku istotnej dziejów naszych prawdzie. Tymczasem Niemcy i Moskale zaczęli opracowywać gruntownie, źródłowo dzieje Polski, Litwy i Rusi, przy tem prace niemieckie były tak doskonałe, że nie znalazły w literaturze polskiej odpowiednich i współzawodnictwa. Z samego wstydu trzeba było ratować honor narodowy i napisać dobrą historję polską oryginalną. Zadania tego podjął się p. Michał Bobrzyński.

Zadanie to wzniosłe o tyle było trudniejszem, że p. Bobrzyński nie chciał korzystać z prac poprzedników należących do szkoły Naruszewiczowskiej i Lelewelowskiej, aby nie wpaść w te same błędy i nie spaczyć swojego poglądu. Tylko prace Walewskiego, Sokołowskiego i Wojciechowskiego jako nie zarażone Lelewelizmem mogły wspierać autora na tej trudnej drodze. Wszakże i tu jak wnosić możemy, nie wiele autor mógł korzystać, gdyż p. Wojciechowski wydał tylko tom I. swojej *Chrobacji*, Sokołowski nic dotąd poważniejszego nie napisał, a Walewski wydał parę osławionych dzieł, które jednak ani nic źródłowego nie przedstawiają, ani żadną krytyką się nie odznaczają, będąc poprostu paszkwilem przeszłości polskiej i bezecnem płaszczeniem się przed najezdnikami. Oprócz powyższych korzystał autor z prac historyków moskiewskich i niemieckich wolnych od Lelewelizmu. I nakoniec wspierał się autor na pracach młodszej generacji historyków jak: Prochaska, Romanowski, Łuszczkiewicz, Małecki, Lewicki, Malinowski, Sladkowski, Gorski, Kantecki, Swieżawski, Skorski, Sutowicz, Zakrzewski, Maurer, Chyliński, Bobrzyński, Karłowicz itd. itd., którzy to autorowie z mniejszem lub większem szczęściem pierwsze swe kroki w studjach historycznych stawiać zaczynają i niepomału zapewne są zdziwieni, iż pierwsze ich próbki mają dla dziejopisarstwa polskiego większe znaczenie od prac Lelewela, Szajnocby i innych historyków, którzy całe swe życie badaniom dziejów ojczystych poświęcili.

Gdyby Joachim Lelewel, człowiek niezaprzeczonego genjuszu i niezrównanej pracowitości, po pięćdziesięcioletniej niezmordowanej pracy, dokonywanej z największem poświęceniem wystąpił z taką butą jak p. Bobrzyński, zrobiłoby to gorszące wrażenie. Jakże niemile p. Bobrzyński uprzedza do swego dzieła czytelnika, występując po raz pierwszy z poważniejszych rozmiarów pracą i z taką niesłychaną arogancją odzywający się o pracy ludzi pełnych zasług, którzy całe życie poświęcili badaniu dziejów ojczystych, którzy niezmierne skarby talentu w nie włożyli, którzy rozświecili przeszłość narodową do możliwych granic!

Zapewne, że badanie dziejów nie może się zamknąć na tem co do dziś dnia zrobiono, że nowe źródła z dniem każdym przybywając odkrywają nieznane dotąd szczegóły, że postęp ogólny umiejętności wskazuje nowe drogi badania; ale czyż p. Bobrzyński może już wypowiedzieć ostatnie słowo? Czy jutro nie będzie tem dla dzisiaj, czem jest dzisiaj dla wczoraj?

Zszeregujmy tu najważniejsze prace najzdolniejszych naszych historyków, którzy za główne zadanie całego życia wzięli rozjaśnienie przeszłości Polski: *Joachim Lelewel*, najpracowitszy zostawił dzieł traktujących dzieje Polski 20 tomów (wydanie zbiorowe), z których każdy zawiera kilka prac, gdyż Lelewel pisał nadzwyczaj zwięźle i największe dzieła streszczał w małych broszurach. *Wacław Aleksander Maciejowski* opracował Historję prawodawstw słowiańskich w 6 tomach i dopełnienia. Piśmiennictwo polskie do 17 wieku w 3 ogromnych tomach. Zwyczaje i obyczaje w Polsce 4 tomy. Pierwotne dzieje Polski i Litwy (pracy tej autor poświęcił 10 lat). Historja włościan i t. d. *Jędrzej Moraczewski* w obszernem 9 tomowem dziele przedstawił całokształt dziejów polskich do końca 17 wieku, gdyż śmierć przedwczesna nie dozwoliła mu dzieła dokończyć. *Karol Szajnocha* opracował poszczególne epoki jak: Bolesław Chrobry, Czasy Władysława Łokietka, Jadwiga i Jagiełło, Dwa lata dziejów naszych i t. d. (wydanie zbiorowe 10 tomów). *Julian Bartoszewicz* położył również olbrzymie zasługi w dziejopisarstwie, a większe dzieła jego jak: Historja literatury 2 tomy, Pierwotne dzieje Polski i inne wychodzą w 10 tomach, które jednak nie obejmą i połowy jego prac na tem polu. *Henryk Schmitt* napisał: Rys dziejów Narodu polskiego w 3 tomach (Epoka Piastów). Dzieje narodu polskiego w 5 tomach od najdawniejszych czasów do ostatniego powstania. Żywot Hugona Kołłątaja, Rokosz Zebrzydowskiego itd. Ostatnie dzieło nad którem pracuje nosi tytuł: Monografja Stanisława Augusta w 5 tomach (wyszło 2). *Teodor Narbutt* przedstawił Dzieje Litwy w 9 tomach. *Teodor Morawski* Dzieje narodu polskiego w 6 tomach, zawierają całokształt dziejów polskich doprowadzony do 1832 r. *Józef Łukaszewicz*, Dzieje szkół w 4 tomach, Dzieje kościoła itd. Za dalekoby nas zaprowadziło samo wyliczanie historyków 19 wieku, którzy bądź pojedyńcze epoki, bądź pojedyńcze działy historji polskiej źródłowo opracowali. I o takim to ogromie pracy, o takich olbrzymich zasługach w dziejopisarstwie ojczystem p. Bobrzyński lekkomyślnie się odzywa i odmawia im znaczenia!

Oddałby autor prawdziwą zasługę gdyby przystępując do wydania swego dziełka zajął się korzystną oceną prac poprzedników, gdyby ten gotowy już materjał roztrząsnął. Zamiast tego robi autor ogólnikowy zarzut, że szkoła Lelewelowska (czyli wszyscy historycy polscy 19 wieku od czasu Lelewela) zbyt pochlebny sąd wydała o dziejach Polski, że za wiele tam widziała cnót, że zanadto chwali zamiłowanie wolności i poczucie osobistej godności obywatelskiej. Zarzut ten względnie biorąc może być słuszny. Jak każdemu człowiekowi lata przebyte wydają się lepszemi niż chwile bieżące, w których musi walczyć z twardemi warunkami życia, tak i narodowi przeszłość jego musi się przedstawiać lepszą niż była rzeczywiście, tembardziej, że utraciwszy wolność, niepodległość i wszystko co mu było drogiem, popadł w haniebne i uciążliwe jarzmo, w okropną niewolę. Być więc bardzo może, że współcześni historycy czując z narodem hańbę dni dzisiejszych w lepszem świetle widzieli przeszłość narodową. Ale zupełnie bezpodstawnym jest zarzut jakoby nie wskazywali wad narodowych, które sprowadziły upadek kraju i dzisiejszą niewolę.

Dzieje Polski dzieli autor na 3 okresy: Patryarchalny od 860—1240 r. Patrymonjalny od 1240 do 1500 i Państwa nowożytnego od 1500—1773 r. Na tym roku kończy autor dzieje Polski, a to raz dla tego, aby książka mogła przejść cenzurę moskiewską i znaleść odbyt pod zaborem moskiewskim, powtóre ażeby przeciągając dalej nie nadwerężyć swego planu, o czem niżej.

Czy podział na powyższe okresy jest usprawiedliwionym? Nie będziemy w to wchodzić. Nie ma w dziejach naszych tak wybitnych różnic, tak stanowczych przewrotów, aby można było postawić granice epok, na któreby wszyscy historycy zgodzić się mogli. Każdy autor stosownie do swojego poglądu na dzieje, inaczej dzieli na okresy. Najracjonalniejszym zdaniem naszem jest podział na 5 okresów zrobiony przez Lelewela, w którym lata 1139. 1333. 1586. 1794., stanowią punkta graniczne. Autor nie pokusił się o skrytykowanie tego podziału ale podsuwa Lelewelowi podział na dynastje: Piastową, Jagiellońską i królów obieralnych i takowy krytykuje. Wszakże krytyka ogólnikowa tu nie wystarcza, bo nawet i taki podział może być przyjętym, gdyż około lat 1370. 1572. wielkie przełomy w dziejach naszych następują. Podsuwanie jednak Lelewelowi podziału, którego on nigdy nie robił, zdaje się wskazywać, iż p. Bobrzyński studjował dzieła Lelewela z pracy Koronowicza, który taki podział przyjmuje (a który do jego poglądu na rozwój dziejów polskich jest zupełnie odpowiedni). Powyższe przypuszczenie zdaje się potwierdzać twierdzenie autora, „że wszystkie szczegółowe badania i prace Lelewela znajdują swój ostateczny wyraz w dwóch uzupełniających się nawzajem dziełach: *Dzieje Polski opowiedziane synowcom* i *Uwagi nad dziejami Polski i ludu jej*." Jeżeli autor o pracach Lelewela sądzi tylko z tych dwóch jego dzieł jednego napisanego dla dzieci a drugiego dla Francuzów, to nie dziwimy się, że tak ogólnikowy sąd wydał o nim.

Zarzuca autor szkole Lelewelowskiej, że tendencyjnie przedstawiła przeszłość narodu zanadto się unosząc dodatniemi stronami, w różowem świetle ją malując i przeceniając wszystko. W logicznem następstwie powinienby sam dać nam obraz przeszłości bezstronny. Tego jednak nie uczynił i nie mamy don

*

o to pretensji. Żądanie od historyka absolutnej bezstronności, jest to żądanie rzeczy niemożliwej. Historyk stosownie do swoich poglądów, wykształcenia i pojęć swojego wieku, kładzie piętno na swej pracy. P. Bobrzyński nie tylko nie starał się być bezstronnym, ale zasiadł do napisania Dziejów polskich, aby na kanwie takowych wyłożyć swoją tendencję. Nie dzieje Polski były tu głównem zadaniem, ale polityczny kierunek, który za pomocą dziejów chciał autor uwidocznić, książkę jego najwłaściwiej by nazwać *traktatem politycznym na podstawie dziejów polskich w celu wykazania, że tylko absolutna władza mogła zbawić Polskę.*

Rozpoczyna autor swą książkę krótką nauką o Państwie i społeczeństwie. Wziąwszy następnie za przewodnika Dzieje Polski Reppla, idzie ślad w ślad za nim, ale tylko w kierunku swojego planu. Więc porzuca zupełnie na stronie Dzieje Rusi. Czyż dzieje Rusi nie są konieczną częścią składową historji polskiej? Czy znakomity niemiecki historyk wydawał się autorowi zbyt tendencyjnym na korzyść Polski? Czy historycy moskiewscy wcielający dzieje Rusi do dziejów Moskwy wydali się autorowi więcej bezstronnymi? Dzieje Moskwy rozpoczynają się w drugiej połowie XII. wieku i oprócz pochodzenia książąt i ich drużyn nie mają nic wspólnego z dziejami Rusi (a oczywiście i nic wspólnego ze słowiańszczyzną). Ruś rozgromiona przez Mongołów, rozdrobiona na drobne księstewka, weszła *cała* w skład W. Ks. Litewskiego i z nim razem weszła w skład Rzeczpospolitej polskiej. Słusznie więc, aby dzieje Rusi stanowiły nierozłączną całość z dziejami polskiemi i nie tylko polscy historycy ale i obcy w ten sposób rzecz traktują. Wykluczanie z historji polskiej dziejów Rusi, jest nonsensem, albo wyrafinowaną polityczną nieprawdą, jakiej się dopuszczają Moskale wcielając dzieje Rusi do swojej historji, przez co chcą ugruntować swoje na Rusi panowanie i wykazać urojone swoje pokrewieństwo ze słowiańszczyzną. Moskale twierdzą, że początek ich państwa jest nad Dnieprem, że Polacy ich ztamtąd wyparli i ziemie te zabrali, że po kilku wiekach oni wzrósłszy w siły wyrzucili Polaków z Rusi i swoje odwieczne ziemie napowrót do Moskwy wcielili. Jeżeli obok tego fałszywego twierdzenia historyk polski milczy i o Rusi nic nie mówi, to pozwala szerzyć się fałszowi, milczeniem go popiera. Moskwa tylko wskutek posiadania ziem ruskich i polskich może się mienić państwem słowiańskiem, a chociaż ani Rusi ani Polsce głosu nie daje, występuje wobec Europy jako orędowniczka Słowian, wobec słowiańszczyzny mieni się państwem słowiańskiem. Zadaniem historyka jest właśnie wskazać, że w Moskwie jeżeli co jest słowiańskiego, to tylko to co ona zagrabiła na Rzeczypospolitej polskiej, tj. prowincje ruskie i polskie, że po za temi prowincjami jednej piędzi ziemi słowiańskiej nie ma, że Jerzy Dołhoruki i Andrzej Bogolubski emigrując z Rusi na ziemiach fińskich założyli swe państwo, które następnie zlawszy się z dziczą mongolską wytworzyło odrębną cywilizację, którą Moskwa narzuca Rusi i Polsce. Pan Bobrzyński pomijając dzieje Rusi w swojej książce ze względów na cenzurę moskiewską niewłaściwie sobie postąpił, bo tem książce swojej odjął jeszcze bardziej charakter bezstronny.

Również niewłaściwie sobie postąpił p. Bobrzyński usuwając ze swej książki dzieje Litwy, tak przed połączeniem się jej z Polską jak niemniej i po połączeniu, wewnętrzne dzieje Litwy pozostawiając na dalekim planie. Autor zresztą nie mówi: *połączenie* Litwy z Polską tylko *przyłączenie* Litwy do Polski i tem jednem wyrażeniem wskazuje jak mało tą kwestją się zajmował.

Ujemne te strony jak zresztą wyłączenie z książki wszystkiego co nie jest polityczną historją Polski: prawodawstwa, piśmiennictwa, wychowania etc. pochodzą z samego planu, którym jak powiedzieliśmy jest wykazanie, że absolutna władza w Polsce była jedynie racjonalną i ona jedna tylko mogła stworzyć rząd silny, wszystkim nieszczęściom zaradzić i niedopuścić do upadku. Z tego punktu ocenia autor wszystkich królów, wszystkich możnowładców i wszelką działalność szlachty. Każde pokuszenie się o zaprowadzenie absolutyzmu wysoko autor podnosi, każde przeciwne temu działanie piętnuje surowo. Przedewszystkiem więc tu dostaje się Zygmuntowi Staremu i Zygmuntowi Augustowi za to, że nie chcieli iść wbrew woli ogólnej, wbrew duchowi czasu i nie postawili silnej władzy absolutnej, którą zdaniem autora mogli łatwo zaprowadzić (?), zwłaszcza że szlachta która dosięgła najwyższego znaczenia politycznego bardzo sobie tego życzyła (?) i parła królów do tego (?). Zdaje się jednak, że i sam autor nie bardzo wierzy w to ogólne życzenie szlachty, skoro stawia za wzór Zygmuntom takich tyranów jak Ludwik XI., Filip II., Iwan Okrutny (Groźny) i inni. Autor nie tylko nie ma nic przeciwko temu, żeby Polska przeszła przez rządy powyżej wyliczonych tyranów, ale ubolewa że Iwan Okrótny nie został królem polskim i nie zreformował rządów na swoje kopyto.*) Ideałem wszakże króla jest dla autora Ludwik XI., bo nieraz przymierza królów polskich do niego i wskazuje jak niedorośli do tego ideału. Uskarża się zresztą na los, że nas skrzywdził dając nam królów nieraz dobrych, cnotliwych, gorąco kochających kraj, z których żaden nie potrafił zostać tyranem.

Dlaczego autor tak gorąco pragnie wmówić w naród, iż rządy absolutne były zawsze dla Polski zbawienne i dla czego stara się to przekonanie zaszczepić trudno dociec. W przeszłości dawały one pewne korzyści gdy cała Europa w ten sposób była urządzoną, ale dziś gdy konstytucjonalizm wziął górę, a wszystkie ludy dążą do uzyskania jak największych swobód czyżby jedna Polska miała dążyć w odwrotnym kierunku, ta Polska, która nigdy absolutnych rządów nie znała?

Nie zawsze autorowi udało się nagiąć historję do swoich celów, często porwany jej pięknością zapominał zupełnie o swej tendencji. Czasem autor znalazł się w drażliwem położeniu nie wiedząc na którą stronę się przechylić. Tak oceniając Witolda i Zbigniewa Oleśnickiego musiał aż wmówić w siebie, że Witold koniecznie chciał królem Litwy ogłosić się, ażeby samemu módz przechylić się na stronę Zbigniewa Oleśnickiego. Ależ Witold gdyby chciał królem się ogłosić, to nicby go od tego nie wstrzymało. Nagabywany o to ciągle przez Zygmunta, cesarza niemieckiego, dał się chwilowo nakłonić do tego będąc już 80-letnim starcem, ale zaraz uległ prośbom Polaków i odstąpił od zamiaru.

Musimy nareszcie wyrazić nasz zul do autora, iż oskarżywszy szkołę Lelewelowską, że za mało rozjaśniła Dzieje XV i XVI wieku, zbyt znowu zajmując się dziejami XVII i XVIII wieku i zapowiedziawszy iż sam to naprawi, nie uczynił tego. Wiek XV i XVI zbył bardzo krótko a wzorem innych obszerniej rozprawia o wieku XVII i XVIII. Nam się zdaje, iż to zajęcie się ostatnią epoką naszych historyków pochodzi z przyczyn zupełnie naturalnych. Utraciwszy niepodległość a z nią wolność i wszystko, nadto gdy usiłowania odzyskania niepodległości niepowiodły się, widocznem się okazało, iż winy i błędy nasze, które spowodowały upadek tkwią jeszcze. Historycy więc przedewszystkiem zwrócili się do badania epoki zepsucia Rzeczypospolitej do w. XVII i XVIII, nie dla tego, jak autor mylnie sądzi, aby to zepsucia apoteozować, bo nie wiemy gdzie tej apoteozy dopatrzył się, ale ażeby odkryć te fałszywe struny, unaocznić je narodowi i wskazać jako złe, bez uleczenia się z którego nie można marzyć o odrodzeniu. To też wszyscy historycy w ostatnich szczególniej czasach troskliwie zajęli się opracowywaniem ostatnich dwóch stóleci.

Dla czego autor w końcu sobie przypisuje zasługę odkrycia, że upadek Polski spowodowany został głównie przez winy Polaków, że naród sam sobie winę utraty niepodległości przypisać powinien a nie najezdzcom, bo ci zawsze się znajdą dla zagrabienia każdego kraju, który nie potrafi się bronić. Przecież to samo mówili wszyscy historycy i jest to rzeczą tak prostą, że dowodzenia nie potrzebuje. Można kraj o silnym organizmie najechać, chwilowo pokonać nawet, ale utrzymać się w nim niepodobna. Jeżeli więc Polska upadła i nie potrafiła zgnieść swoich najezdzców to dowodzi, iż organizm jej uległ strasznemu zepsuciu. Nie wypływa jednak z tego aby usprawiedliwiać najezdników i jeżeli autor gniewa się na historyków polskich, że nie chwalą i nie uniewinniają najezdzców, to zupełnie nie ma racji. Jeżeli ktoś nie zamknie na noc swego pomieszkania, może się słusznie obwiniać o brak przezorności, ale nie idzie zatem aby całował rękę złodzieja, który korzystając z jego nieprzezorności powynosił mu wszystkie sprzęty. Nie będziemy wdawać się w szczegółową polemikę z autorem, za dużo by to zajęło miejsca i wolimy rzecz tę pozostawić wytrawniejszym i kompetentniejszym piórom.

*) Nie posiadamy w literaturze naszej żadnej historji moskiewskiej. Jakie to były rządy Iwana Okrutnego czytelnik może poinformować się z zamieszczonego w r. 1877 w „Tygodniu“ przekładu artykułu Kostomarowa *Kudiejar*. Artykuł napisany bez przesady i przeszedł cenzurę w Petersburgu

---

Powyższe dzieło p. Bobrzyńskiego p. Chyliński dosłownie przepisał skracając tylko miejscami i dodał na końcu szczególnego rodzaju bigos, który nazwał czwartym okresem dziejów ojczystych, a w którym mówi o powstaniu państwa austrjackiego, o niektórych urządzeniach w Galicji, o Napoleonie, o Wodzickim o Kołłątaju o Gułochowskim i wielu rzeczach innych i książkę swoją przeznaczył do użytku wyższych klas szkół średnich—rozumie się, jeżeli znajdą się takie szkoły któreby podobnej książki potrzebowały.

Piśmiennictwo zagraniczne.

(Ciąg dalszy.)

Następujący rozdział, zatytułowany: „Okolice na pokładach gliny w północnych Chinach i ich stosunek do centralnej Azji,“ wnika jeszcze głębiej w istotę rzeczy. W poprzedzającym rozdziele wykazał autor różnicę, jaka zachodzi pomiędzy bezodpływowym obszarem centralnej Azji, a opasującemi go okolicami, których wody wchodzą aż do morza; w tym rozdziale bada on przyczyny, dla których te okolice taki a nie inny otrzymały charakter.

W dolinie Renu, na dorzeczu Dunaju i u nas nad Dniestrem rozpościera się szeroko nadzwyczaj charakterystyczny rodzaj gleby; składa się ona z miałkiej, kruchej żółtawo brunatnej, nieuwarstwowanej gliny, w której znajduje się mnóstwo drobnych skorupek pewnego rodzaju ślimaków, a spotyka się często także zęby i kości olbrzymich po największej części ssaków. Glebę tę gliniastą, nadzwyczajnie urodzajną, nazwano w okolicach nadreńskich *Löss*, którą to nazwę przyjęła i terminologja naukowa innych języków. W Europie dochodzi ona miejscami znacznej grubości i tworzy ściany pionowe do kilkuset stóp wysokie; ale w Chinach dochodzą te masy niewarstwowanej gliny, prostopadłemi szczelinami połupane do 1500 i 2000 stóp głębokości. W prowincji *Shansi* wznoszą się te gliny aż do wysokości 1800 metrów nad powierzchnią morza, w *Shensi* i *Kansu* nawet jeszcze wyżej, i okrywają w Chinach całych obszar o wiele większy niż cały Niemcy.

Patrząc z jakiegoś wynioślejszego miejsca, wydają się rozpostarte na tych glinach płaszczyzny tak równe i jednostajne, że półk kawalerji mógłby je w największym pędzie przebyć bez żadnej przeszkody. Puściwszy się jednak po tych równinach w pochód, przekonywamy się, że są one pożłobione niezliczonemi wypłóczyskami, które tworzą labirynt wąwozów, przecinających się i krzyżujących w najrozmaitszy sposób. „Nasze oko gubi się w dzikim chaosie tysiąca pionowych ścian z jednostajnej żółtej gliny— opisuje Richthofen — które rozdzielają tyleż niedostępnych, przepaścistych wąwozów. Zjechawszy w taki wąwóz, przychodzi nam się wspinać pomiędzy jego ścianami, to w górę, to znowu spuszczać w dół często tak stromo, że najlżejszy wóz zaledwie konie wyciągnąć mogą. Nagle obrywają się ściany po obu stronach i droga prowadzi na wąski grzbiet, ciągnący się jakoby mur pomiędzy żółtemi przepaściami, które rozgałęziają się w nie-

skończoność." Chińczycy umieją z podziwienia godną zręcznością prowadzić drogi przez te labirynty, ale pobudowanie przez nie kolei napotkałoby na trudności niepodobne prawie do przezwyciężenia. Gliny te, jak już wspomniano, odznaczają się nieporównaną urodzajnością, ale praktyczni Chińczycy robią z nich jeszcze inny użytek. W północnych Chinach żyją miliony ludzi w jaskiniach wydrążonych u podnóża ich ścian. Richthofen opisuje, że niektóre z tych jaskiń rozpościerają się na 200 stóp daleko pod ziemią. Oprócz prostych chłopskich jaskiń, spotyka tam zdziwiony podróżnik prawdziwe pałace, sklepione cegłami, o fasadach upstrzonych architektonicznemi ozdobami. Od wieków żyją całe pokolenia w takich jaskiniach drążonych w ścianach tych mas gliny, a mieszkania te podziemne odznaczają się taniością, trwałością, suchością, czystością, ciepłem w zimie, a chłodem w lecie.

Wielu badaczów zastanawiało się nad tem, zkąd się wzięły zdumiewające masy gliny, nagromadzone na pewnych obszarach i wszyscy zgadzali się na to, że ów *Löss* nie może być czem innem jak osadem wód; tak twierdził Lyell, Suess i Oskard Fraas. Ten ostatni różnił się jednak w tem od obu poprzednich, że przypisywał naniesienie tych mas gliny nie rzekom i wodom ze stopionych nagle lodowców, lecz wodzie deszczowej, która, zawierając zawsze jeszcze cokolwiek kwasu węglowego, obrywa drobniutkie kawałeczki skał, spłukuje je i przez lat tysiące znosi w najbliższe u podnóża gór rozścielone doliny. Ale dopiero Richthofen wykrył jak się zdaje, prawdziwą historję tworzenia się tych zagadkowych osadów. Utrzymuje on, że są one utworem prądów powietrza, wiatrów, że powstały z pyłu, które wiatry przez całe szeregi lat tysięcy osadzały. Znajdywane w nich skorupki ślimaków, cieniutkie jak papier, a jednak nieuszkodzone, szczątki zwierząt lądowych i mnóstwo korzeni roślinnych, potwierdzają zdanie Richthofena. Deszcz, który spłukiwał z gór, oderwane przez wietrzenie drobinki skał, wiatry, które unosiły je i zsypywały w zaklęsłych kotlinach, nakoniec rośliny, które w części ustalały lotny pył, w części wpływały nań przeistaczająco, oto według zdania Richthofena, czynniki, które budowały te pokłady gliny i dotąd jeszcze w stepach Mongolji budują.

Każda z kotlin, zasuniętych dzisiaj temi osadami gliny, była niegdyś, jak twierdzi Richthofen, obszarem bezodpływowym, słonym stepem, podobnym do stepów teraźniejszej Azji centralnej. Odróżnia on też ściśle osady lösu wodne i lądowe: pierwsze są mniej lub więcej dokładnie uwarstwowane, obfitują w sól, są do uprawy nieprzydatne i zalegają najgłębsze miejsca kotlin, gdzie niegdyś spływały wody w słone jezioro, które spadający z atmosfery pył zasypywał, a w końcu zupełnie wypełnił.

Bezodpływowe niegdyś kotliny w ciągu czasu, ze zmianą stosunków klimatycznych, o których oczywiście nic pewnego powiedzieć nie możemy, zamieniały się w obszary odpływowe, wody wyługowywały sól z osadów wodnych lösu i kraj stawał się urodzajnym, przydatnym do uprawy i osadnictwa. Tak przeistaczały się jałowe, słone stepy, w krainy urodzajne i osiadłe, a proces ten postępował ze wschodu na zachód, z jednej kotliny w drugą ku środkowi kontynentu. Zapewne i Europa przeszła przez te wszystkie stadja przetwarzania się; ale w Azji zachowały się dotąd bezodpływowe obszary, w których odbywa się ciągle proces wypełniania pyłem nanoszonym prądami atmosferycznemi, a w Europie nie ma już znaczniejszych obszarów bezodpływowych.

Wykazawszy jak pod wpływem prądów atmosferycznych stepy w urodzajne krainy zamienione być mogły, przechodzi autor dalej do rozpatrywania przyczyn, które przeciwnie dobrze nawodnione okolice w stepy przeistoczyć mogą.

Geologiczne działanie prądów powietrza na drobny odtok gór, powstały z wietrzenia skał pod wpływem atmosfery i zmiany spowodowane przez nie są dwojakie: znoszony przez te prądy pył, użyźnia pewne okolice jak osady namułu nilowego i w Khołanie działa jak nawóz; ale też same prądy, unosząc ze stepów miałki pył a zostawiając tylko grubszy odtok, przyczyniają się do przeistoczenia się ich w pustynie. Dopomagają im w tem wody; deszcz spłókuje ze skał co tam jeszcze wiatry zostawiły, ściekające w kotliny, bezodpływowe wody nagromadzają w nich wyługowane sole i tworzą słone bagna i słone pustynie.

Jakie chmury pyłu wynoszą wiatry z stepów centratnej Azji, świadczy dowodnie następujący fakt przytoczony u Richthofena: „Gdy wiatr, dmący ze stepów centralnej Azji uciszy się, okrywa się wszystko warstwą delikatnego, żółtego pyłu. W *Shensi*, gdzie powietrze rzadko jest czyste i przeźroczyste, nawiedziona jest cała okolica żółtą barwą. Domy, drzewa, zasiewy, a nawet podróżni, których się spotyka na drogach, i całe powietrze zabarwione jest na żółto. Żółta barwa jest Chińczykowi świętą, jest symbolem ziemi i znamieniem władzy monarchy nad wszystkiem, co jest na ziemi; jest to bowiem barwa owych osadów gliny, lösem zwanej, i krain, w których one się osadziły, a w których naród Chiński rozpoczął swój rozwój historyczny.

Człowiek przyczynia się także do przeistaczania krain, które zamieszkuje. Rozprowadzanie wody z rzek górskich po szerszych obszarach dla zasilenia i pomnożenia oaz nie uchodzi człowiekowi bezkarnie; im więcej wody pochłaniają oazy, im urodzajniejszą jest ich gleba, tem puściejsze rozpościerają się rozłogi nad dolnym biegiem rzeki. Nie zasilając oaz toczyły one więcej wody do jezior centralnych i zwilżały na całym biegu swe brzegi. Przez rozprowadzenie wody kanałami po oazach przyspiesza się jej ulatniane, dolna część łożyska wysycha, zapiaszcza się, lotny piasek unoszą wiatry i zasypują rim w końcu oazy, które przyspieszyły ulotnienie się wód i wyschnięcie na dolnym biegu ich łożysk.

Badając wiek formacji, które stanowią geologiczną podłogę kotlin stepowych centralnej Azji wypełnionych dzisiaj nowszemi utworami, przychodzi Richthofenowi wspomnieć o centralno-azjatyckiem morzu śródziemnem. Morze to zalewało w końcu formacji kredowej dzisiejszy *Han-Hai* w długości około 1800 mil. Połączenie z zachodniem morzem, zalewającem dzisiejsze stepy Turanu, przez Dżundgarję zostało później przerwane, poczem pozostało tylko zamknięte morze śródziemne, które z czasem przez parowanie rozdzieliło się na kilka mniejszych basenów, a wysychając ciągle zmalało powoli do dzisiejszych jezior i kałuż słonych, zalewających najgłębsze zaklęsłości. Widać ztąd, że już od bardzo dawnych czasów musiały w Azji centralnej panować takie same jak dzisiaj stosunki. klimatyczne, gdyż inaczej nie mogłoby było wyschnąć to morze śródziemne.

Stosunki te klimatyczne i właściwości w obszarze atmosferycznym Azji centralnej, są wynikiem spiętrzenia jej obszarów równoległemi pasmami gór i kierunku zasilających je wilgocią prądów powietrza. Tak np. kotlina rzeki Tarym nie byłaby stepem, gdyby wysokie grzbiety Himalajów nie pozbawiały wilgotnych wiatrów, wiejących od południa, ich wilgoci, przed tem nim one się na ten obszar środkowej Azji dostaną. Ale znowu gdyby od strony północnej nie ciągnęły się równolegle z Himalajami góry Karakorum, Kven-lun i Tieu-shan, które resztką wilgoci, pozostawioną im jeszcze przez Himalaje tym wiatrom odbierają, byłyby te stepy zupełnie bezwodną pustynią.

Po takiem rozpatrzeniu wszechstronnem bezodpływowych obszarów centralnej Azji, przechodzi autor do opasujących je krain przechodowych, które przedstawiają już powabniejszy widok. (Dok. nast.)

KORESPONDENCJE

Ostrów d. 23. Marca 1879.

Szanowny Panie Redaktorze!

Audiatur et altera pars: w jednym z ostatnich zeszytów *Tygodnia polskiego* pozwolił sobie p. Jeske-Choiński dość grubą rzucić kalumnią w twarz młodzieży polskiej, a w szczególności młodzieży przebywającej na uniwersytecie wrocławskim; bo ona to, jak z korespondencji p. J. widzieć można, dała mu pochop do napisania wzmiankowanego sprawozdania o „naszej młodzieży." Jeżeli odpowiadam na zarzuty nam robione, to li dlatego, że w ostatnich czasach właśnie tyle nas spotkało nagan, po większej części niesłusznych że gdybyśmy i tym razem milczeli, mogłoby się zdawać, jakobyśmy rzeczywiście na bezustanne zasługiwali nagany. Nie chcę tu wchodzić w to, jakiem prawem śmie p. J. brać na siebie urząd cenzora nad młodzieżą polską. Nie chcę wchodzić, na jakiej zasadzie mógł p. J. napisać: a przecież i myśmy za kołnierz nie wylewali, a o kilka nieprzespanych nocy nikomu nie chodziło. Bądź jak bądź powstaje p. J. w roli cenzora, nie przebierając wcale w mianach, jakie można po dziś dzień nadać młodzieży polskiej. „Lepiej nie patrzyć na dzisiejszą młodzież z pod dzielnicy pruskiej, bo trzebaby przestać wierzyć w jaśniejszą naszej idei dolę. Aż strach pomyśleć, co to będzie za lat 20, może mniej, kiedy *weteranów* śmierć z posterunków odwoła, kiedy na opróżnione posady publiczne, zabraknie odpowiednich kandydatów" powiada p. J. Gdybym nieznał p. J. z widzenia, mógłbym sobie powyższe słowa w ten tylko tłymaczyć sposób, iż starość, — stawia się bowiem sam p. J. w szeregu zasłużonych weteranów naszych, — do tyla już osłabiła wzrok jego, iż nie mógł przypatrzyć się dobrze postępowaniu młodzieży polskiej. Przemawiam wprawdzie *pro domo sua*, ale konieczność mnie tylko do tego zmusza. Wystarczy może już jako dowód, że fałszywem jest miano *martwota* nadane przez p. J. młodzieży polskiej, jeżeli się odwołam na nasze pisma polskie z ostatnich miesięcy, z których się dowiedzieć było można, iż nieomal $^2/_3$ zgłaszających się do egzaminów państwowych było Polaków, którzy z najlepszemi świadectwami opuścili uniwersytet. Ile prawdy jest w tem, iż według korespondencji p. J. „młodzież uniwersytecka hula na zabój zapominając o obowiązkach swoich, można naj-

lepiej się dowiedzieć ze sprawozdań publicznie ogłaszanych z ruchu naszych towarzystw naukowych. „Kto nie obojętnie patrzy na młode pokolenie“ i zajmuje się bliżej jego rozwojem, kto lepiej zna młodzież naszą uniwersytecką, jak p. J., ten z pewnością nie będzie podzielać niewczesnych jeremiad p. J. Zresztą, kto chce by lepiej czyniono, niech sam da przykład tego, a może wtenczas będzie można w jakikolwiek sposób uniewinnić niewczesne morały wystósowane do ogółu.

Oddaję zresztą rzeczy te pod sąd ludzi, którym urząd uzurpowany przez p. J. więcej przystoi, jak p. J.

Racz przyjąć Szanowny Redaktorze wyrazy najgłębszego szacunku *unus pro multis*

Władysław Szmyt,
ucz. wydz. prawniczego
na uniwersytecie wrocławskim.

(Z prawdziwą przyjemnością zamieszczamy ten protest i mamy niepłonną wiarę, że ogół uniwersyteckiej młodzieży polskiej potrafi godnie spełniać swoje obowiązki; niepodobna zaś czyczynić go odpowiedzialnym za jednostki, które zawsze i wszędzie mogą wchodzić na błędne drogi. Red.)

KRONIKA TYGODNIOWA.

Trzy ważne nowości mamy do zanotowania w tym tygodniu: wiosna przyjechała, Rossi przyjechał i woły nasze galic. mogą jechać do Wiednia. Tak jest, nowa łaska spadła na kraj nasz, ministerjum zdecydowało się pozwolić tym wiecznie zadumanym rogaczom galicyjskim iść pod nóż niemiecki na pociechę ich niemieckich żołądków, po zaopatrzeniu się wszakże w legalne pasporty, czy nie przynoszą z sobą galicyjskiej zarazy. Co więcej! — obiecują nam, że będzie zamkniętą granica od Rosji dla zatamowania napływu stepowych nihilistów takich do Galicji, i tylko przez Brody i Podwołoczyska będą one miały przystęp do nas... Obywatele ziemscy cieszą się temi widokami na przyszłość, lecz my tu we Lwowie pod tym względem jesteśmy kompletnie neutralnymi. Od niepamiętnych czasów nic tu nie wiemy ani czujemy czy woły droższe czy tańsze, czy szlachta wie lub nie wie co robić ze swoją pszenicą i kartoflami, i jak płaciliśmy dawniej za funt mięsa, tak i dziś płacimy z tą tylko różnicą, że dawniejszy funt był większy od dzisiejszego o dwanaście procent. Mięso, bułki, spirytus, wędliny, nabiał, wszystko tak jak było, — nasi handlarze i procederzyści na tym punkcie cen są niewzruszonymi konserwatystami, daleko radykalniejszymi od Stańczyków i Jego Excelencji hr. Grocholskiego. Musi być już bardzo dokuczliwym ten stan nieruchomości cen we Lwowie, jeżeli nawet szanowna Rada miejska poruszyła tę kwestję, i zamierza coś, gdzieś, kiedyś w tym względzie przedsięwziąć. Tymczasem stolica nasza jest podobno najdroższem miastem w Europie, wtedy gdy ludność kto wie czy nie najbiedniejsza.

Przystępując do drugiej nowości, jaką jest Imci pan Rossi z 32 osobami swej trupy, przeznaczonej do rozbudzenia namiętności tragicznych w obywatelstwie lwowskiem, tyle możemy wiedzieć ze słuchów rozchodzących się po mieście, że na pierwszy raz rozkupiono wszystkie miejsca. Znawcy i ci szczęśliwcy, którzy mieli ten zaszczyt widzieć przewracanie oczami i klasyczną gestykulację korpulentnego Włocha, powiadają że grał lepiej jak sam Otello, lepiej jak tego sobie życzył nieboszczyk Szekspir. Sprawozdawca wasz tak słyszał i o tem donosi czytelnikom. Wszyscy tylko narzekają, że mówi i szlachetnie krzyczy takim językiem, którego nikt zrozumieć nie może, ale jednakże czuje się co on chce,... bardzo czuje, szczególniej po naszej kieszeni.

Tym razem zatryumfowaliśmy nad Krakowem, gdzie pan Rossi uważając tego robaczka z nad Wisły za zbyt małego na jego apetyt, nie myśli występować, więc Kraków z godnością znosi tę niełaskę i entuzjazmuje się Horsztyńskiemi słowackiego, podobno rugując orkiestrę aż na galerją... Przyznaję otwarcie, że okoliczność ta co się tyczy Rossiego czyni nam pewną satysfakcję, bo też ta mieścina znad Wisły w ostatnich czasach okropnie zadziera nosa do góry. Ledwie że my tu pomyślimy o czem, żeby im zainponować, oni już robią, i nic dziwnego, mają Czas... Uroczystość pięćdziesięcioletniego jubileuszu Kraszewskiego zaanektowali dla siebie: my fundujemy bursę dla seminarzystów do szkół ludowych, oni jedną ręką rozpędzając tych seminarzystów, drugą fundują dla nich także bursę, niewiadomo tylko czy dla tych wypędzonych czy dla tych co zostaną. Nawet socjalistów i drukarzy porządnych nam zazdroszczą, i chcieliby wszystkie tego rodzaju indywidua do siebie posprowadzać... jak to zrobili z p. Mańkowskim. W tych dniach wmurowali tablicę, pamiątkową na Wawelu dla śp. Jerzego Lubomirskiego, stawiają pomnik dla Piusa IX. (?!?), myślą od lat kilkunastu o Mickiewiczu, urządzają mauzoleum dla wielkośc iliterackich i naukowych, jakby na zachętę dla naszych wielkości lwowskich, aby tam na śmierć jechali... Słowem, źle: biorą górę w Czasie, w przestrzeni, w sercach i myślach, kiedy cała nasza działalność ogranicza się na budowaniu Strażnic, i wystawianiu Sztandarów. Tak jest, szanowni czytelnicy, musimy być bardzo zagrożeni, skoro fundujemy drugą Strażnicę już polską i wystawiamy drugi Sztandar również polski, jak o tem pan Gniewosz wyrugowany z dawnych siedzib swoich donosi. Próbowaliśmy w zeszłym tygodniu zaimponować im moskiewską komedją odstępując na ten raz od patrjotyzmu, który nie powinien by tolerować tego rodzaju anneksji, jednak i „Zaręczyny Kreczyńskiego“ na drugiem przedstawieniu zrobiły fiasko... Teatr był pusty.... Interesująca bo też ta komedja; w drugim akcie naprzykład czubią się porządnie oswobodziciele słowiańszczyzny na scenie, nieprzymierzając jak w szynku, i tylko, tylko że nie słychać narodowego ich przysłowia, które zapewne jest w oryginale, a bez którego komedja traci wszelką prawdę i wdzięk estetyczny tak upowszechniony nad Newą. Z drugiej znów strony tutejsze sfery naukowe, po cichu przyklaskują nieudaniu się Nowej Historji Polskiej p. Bobrzyńskiego, którą prasa warszawska bez ceremonji nicuje, oświadczywszy się stanowczo przeciw podawaniu jej do ręki młodzieży naszej, dla której właśnie jest przeznaczona. Mimo zamkniętych ust przez cenzurę moskiewską, nie podobał się tam cały nastrój filozoficznych poglądów pana profesora na przeszłość naszą wygłoszony śmiało ze stanowiska dzisiejszej narodowej naszej pozycji. Przyznają wiele talentu antorowi, ale nie zgadzają się na tendencje i opinią, mogącą wprowadzić młodzież na niebezpieczne tory.

W maju najpóźniej 15go mamy obiecany Sejm we Lwowie, a podobno i w tym czasie mają być rozpisane wybory nowe do Rady Państwa. Spory o secesję i solidarność dzięki Bogu trochę ucichły, a choć między Czasem a naszemi dziennikami wypadają kiedyniekiedy strzały, dające poznać, że walka nie ustała, to jednak opinja publiczna zaczyna się reflektować powoli, i to nam wróży, iż przy wyborach przedewszystkiem sprawa Polski będzie na pierwszym planie.

Przemyśl zawstydził Lwów pod względem prelekcji pp. Ochorowicza i Bełzy. W przeszłą niedzielę odbył się odczyt tych panów przy nabitej sali i wytężonej uwadze publiczności, kiedy przeciwnie u nas sala ratuszowa mogłaby jeszcze cztery piąte więcej pomieścić słuchaczy, choć cel na fundację bursy imienia ks. Leona Sapiehy powinien był zachęcić liczniejsze zebranie się wykształconej publiki. Dlatego spodziewamy się, że trzeci odczyt na ten sam dochód, który 29. marca z powodu różnych przeszkód nie mógł przyjść do skutku, a który odbędzie się w nadchodzącą sobotę to jest 5. kwietnia w sali ratuszowej, popreperuje honor Lwowa. Pan Fiszer odczyta humoreskę „Rządy Dziadzi i Babci“, a wiadomo, że p. Fiszer nie czyta ale gra, oddając z całą charakterystyczną odrębnością wszystkie sceny występujące w opowiadaniu. Tenże sam p. Fiszer spróbował sił swoich na polu powieściowem; czytaliśmy w tych dniach pierwszą jego próbę, napisaną z niezwykłą werwą i humorem znamionującą niezaprzeczony talent powieściopisarski. Wkrótce zapewne humoreska ta pokaże się w którem z pism tutejszych, czytająca więc publiczność przekona się, że p. Fiszer jak znakomitym jest artystą na scenie, tak i w literaturze może zająć niepoślednie miejsce.

Wreszcie co do ostatniej nowości jaką jest wiosna, ta chyba już na prawdę zagląda nam w oczy; słońce się śmieje, pączki drzew zaczynają się nadymać, a piękne i ciągle wiosenne oblicza Lwowianek rozpoczynają kanonadę po ulicach swemi oczami przeciw brodatym i wąsatym Katonom lwowskim, ktorzy owinąwszy się w togę poważnego znudzenia i przesytu, przyjmują te strzały z dziwnie stoicką obojętnością... Wiosny panowie więcej, wiosny, do serca życia, trochę krwi zamiast atramentu w żyłach! Na Boga, wiosny, bo wkrótce przyjdą upały i skwaśniejecie jak ogórki, a szkoda tego życia!

* * *

Podniesiono w Warszawie myśl nabycia obrazu Matejki *Bitwa pod Grünwaldem* i założenia muzeum sztuk pięknych. Na pierwszą o tem wiadomość zgłosiło się dwóch kupców ofiarując na ten cel po 500 rubli składki. Henryk Siemiradzki oświadczył gotowość darowania swoich *Pochodni Nerona* do tego Muzeum w razie gdyby ono stało się czynem. Na pierwszy rzut oka projekt ten bardzo pięknie się przedstawia i nie byłoby nic trudnego w urzeczywistnieniu go, gdyby ci, co posiadają bogactwa krajowe byli równie skłonni do ofiar na cele publiczne jak klasy niezamożne, ale niestety! arystokracja nasza ma tak wiele wydatków na brukach paryzkim i innych i tak bardzo sobą jest zajęta, że jej nie starczy czasu na zajmowanie się sprawami krajowemi i nie ma pieniędzy na cele narodowe. Tymczasem ofiarność niezamożnych klas nie może wystarczyć na wszystkie potrzeby narodowe, należy więc przedewszystkiem myśleć o rzeczach najpilniejszych a założenie muzeum może poczekać na lepsze

czasy. Obawy zaś aby obraz Matejki nie przeszedł w obce ręce na razie nie ma, bo jak wiadomo kupił go obywatel warszawski.

Dziwić się nie pomału musimy, że Warszawianie tak skłonni oo ofiar, tak gorliwie spieszący z pomocą dla potrzebujących nie zainicjują najważniejszej sprawy, która leży odłogiem, a która najbardziej podniesienia potrzebuje. Oto miljony ludu wyczekują oświaty a nie masz nikogo coby o oświacie ludu pomyślał. Wprawdzie lud sam tam w miarę rosnącego dobrobytu zaczyna i o oświacie myśleć, ale bez pomocy ogólnej, bez światłego kierownictwa rzecz idzie bardzo pomało.

* * *

Liczniej niż zwykle zebrali się członkowie na ostatnie posiedzenie Towarzystwa Przyrodników, które miało miejsce w zeszły wtorek. Zapowiedziane bowiem były dwa zajmujące a zbliżone treścią wykłady P. P. Staneckiego i Abakanowicza. Prof. Stanecki mówił „O mierzeniu i ważeniu po za granicami mikroskopii“, a więc o dochodzeniu objętości i wagi najmniejszych cząstek materji zwanych drobinami i atomami. Szan. prelegent rozpoczął wykład opisem szeregu prób czynionych przez fizyków celem wykrycia granicy podzielności materji. Używano w tym celu różnych środków a mianowicie: *rozpuszczania* barwników czyli rozwadniania ich coraz to większą ilością płynu, dopóki tylko barwnik mógł być widzialnym; powtóre: *rozpłaszczania* blaszek do możliwie najmniejszej grubości; po trzecie: *przylegania* i *włoskowatości* zapomocą których można było otrzymać najcieńsze warstwy płynów, jak np. w bańce mydlanej lub między tafelkami zanurzonemi w naczynie z wodą. Dalej przeszedł prelegent do tak zwanej „kinetycznej teorji gazów“ czyli nauki o ruchach cząstek i atomów, zatrzymując się głównie nad genialnemi pracami Clausiusa i Maxwell'a, które przy pomocy matematyki doprowadziły do cudownych odkryć objętości i wagi drobin. Okazało się, że takich drobin idzie kilkanaście, kilkadziesiąt a nawet *sto kilkadziesiąt tryljonów na jeden miligram materji*, stosownie do jej gatunkowej gęstości. Dla mierzenia tych minimalnych ilości materji, zaledwie tysiączna część gramu może być przyjętą na jednostkę. Ale w każdym razie jest to już pewien punkt oparcia dla myśli, która w ostatnich dopiero czasach zdołała sięgnąć tak głęboko w istotę materjalnego bytu.

Wykład prof. Staneckiego odznaczający się niezwykłą jasnością i gorącem zamiłowaniem przedmiotu wywołał też żywe oklaski zgromadzonych.

Następnie mówił p. Abakanowicz o nadzwyczajnych odkryciach Crookes'a, które już znane są naszym czytelnikom z artykułu prelegenta w ostatnim numerze Tygodnia pomieszczonego.

Dla dopełnienia tej notatki wspominamy jeszcze o ostatnim numerze „Kosmosu“ jako organu Towarzystwa. Zawiera on przedewszystkiem sprawozdanie z szóstego walnego zgromadzenia wraz z cenną mową profesora Radziszewskiego o badaniach Lockyera nad kwestją złożenia pierwiastków. Jako pożądaną nowość znajdujemy pierwszy przegląd krytyczny podręczników używanych do wykładu nauk przyrodniczych. Dawno już należało o tem pomyśleć; jeżeli od kogo bowiem, to od Towarzystwa Kopernika, publiczność ma prawo się spodziewać bezstronnych a umiejętnych w tym względzie wskazówek. Dalej następuje treściwy opis katastrofy Cieplickiej dokonany przez p. Dunikowskiego, i kronika naukowa, bardziej niż zwykle urozmaicona, ale nielitościwie przepełniona błędami zecerskiemi, których niebrak nawet w tytułach. W ogóle ta strona wydawnictwa wymagałaby większej pieczy redakcji, gdyż nawet w formułach chemicznych i w terminologji naukowej pełno jest niedorzeczności. Pozwalamy sobie na zrobienie tej wymówki właściwie dlatego, iż radzibyśmy wszelkiemi siłami popierać prace Towarzystwa, których całą doniosłość uznajemy.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literatura, sztuka i nauka.

*** Filozofia duchowna. Księga duchów zawierająca zasady nauki duchowniczej i t. d. Pod powyższym tytułem wyszła we Lwowie spora książka nakładem Franciszka Głodzińskiego.

Nie raz się zdarza w dziennikach czytać zarzuty księgarzom naszym robione przez literatów, że są zbyt dbali o swoją kieszeń i t. p. Nie raz już wykazaliśmy jak zarzuty podobne są nieuzasadnione. Przy tej sposobności zwracamy raz jeszcze uwagę, że wszelkie głupstwa, wszelkiego rodzaju niedorzeczności, a takie tylko rzeczy u nas na wielki pokup liczyć mogą, nigdy nie są wydawane przez księgarzy. Jak powyższa książka tak również wydany niedawno kalendarz *Fortuna*, jak wszystkie senniki, kabały, Hokus-pokus i wszelkie podobnego rodzaju wydawnictwa wychodzą zawsze prywatnym nakładem.

*** *Warszawski rocznik literacki.* Rok 8my za rok 1878. Nie jest to już poważna książka jak w pierwszych latach tego wydawnictwa, gdzie była zawartą bibljografia z możliwą dokładnością zebrana, krytyczny przegląd piśmiennictwa polskiego, wiadomości szkolne i wiele iannych bardzo cennych rzeczy. Rocznik bieżący zawiera tylko: Kalendarz, Pogląd ogólny na ruch umysłowy w r. 1878, ale jaki to pogląd? Wyliczenie niektórych protegowanych wydawnictw zestawione na ośmiu stronnicach i katalog księgarni Gebethnera i Wolfa.

*** Zeszyt II. *Kosmosa*, Czasopisma polskiego Towarzystwa Przyrodników imienia Kopernika, za rok 1879 opuścił prasę i zawiera: Sprawozdanie z szóstego walnego zgromadzenia. Przegląd krytyczny podręczników używanych do wykładu nauk przyrodniczych w galicyjskich szkołach. I. M. Szklarz Mineralogja. Przez Dr. L. Petelenca. Katastrofa w Cieplicach przez E. L. Dunikowskiego, Kronika naukowa, Wiadomości bieżące. Prenumerata *Kosmosa* półroczna 3 zł. z przesyłką.

*** W Poznaniu istnieją dwa Tow. muzyczne: Tow. przyjaciół muzyki i Tow. muzyczne.

*** W Poznaniu przedstawiano operę Moniuszki „Jawnuta“.

*** P. Fiszer napisał „Kropla atramentu“.

*** P. Wł. Koziebrodzki „Stryj odjechał“.

*** Lamartine, jako poeta, polityk a przedewszystkiem mąż Francji, doczekał się swojego dziejopisarza. Uczeń i przyjaciel jego, Ludwik Ronchaud, w dwutomowem dziele: *La politique de Lamartine* (Paryż, Hachette) wymownie, ściśle, a sprawiedliwie, roztwarza przed czytelnikiem epos o wielkim człowieku, który przeszedł po świecie na świadectwo: ile to słowo ludzkie przetworzyć i stworzyć jest mocne.

*** W kunstvereinie Wiedeńskim znajduje się obecnie nowy obraz Kozakiewicza „Nieudana ucieczka.“ Płótno to chwalą znawcy.

*** W Wiedniu wystawiono na sprzedaż nieznane płótno Grotgera. Przedstawia ono klacz ze źrebięciem—rysunek wytworny, cena 200 zlr.

*** P. Stefan Babałowicz, uczeń Petersburgskiej akademii sztuk pięknych, na egzaminie odbytym w zeszłym miesiącu, otrzymał duży medal srebrny za rysunek z natury, i mały złoty za szkic.

Młodzieńcowi pełnemu talentu, wróżą wybitne w szeregu malarzy stanowisko.

*** Powieść p. t. Madame Robernier *Ernesta Daudeta* drukująca się obecnie w Revue, tłómaczoną jest jednocześnie na język polski w Warszawie.

*** 154 zeszyt *Bibliotki historycznej* opuścił już prasę.

*** We Lwowie wyszło drugie wydanie dzieła ks. Feliksa Rożańskiego p. t. *Izraelici*, ich religja, obyczaje i zwyczaje, w 2-tomach.

*** Biblioteki Mrówki wyszły dwa dalsze tomiki 75 i 76 i zawierają: Juliusza Słowackiego poematy: *Lambro*, *Hugo*, *Mnich i Arab.* Cena każdego tomiku 20 centów.

*** Dalsze tomiki *Śpiewnika polskiego* 7, 8, 9, są już pod prasą i wkrótce wyjdą na widok publiczny.

*** W Krakowie nakładem Korneckiego wydał p. E. G. Wiktor urywek poematu p. t. *Ostrołęcki bój.*

*** Znany historyk i podróżnik p. Aleksander Jabłonowski wyjechał z Warszawy do Prewezy w Epirze.

*** Wychodzące w Pradze czeskiej czasopismo literackie „*Światozor*“ zamieszcza w dwóch ostatnich numerach obszerny życiorys znanego poety Adama Asnyka, wraz z oceną prac jego literackich. Słychać. że ostatnia tragedja pana Asnyka „Kiejstut“ ma być przetłómaczoną na język czeski i wystawioną na scenie teatru w Pradze.

*** Pan *Seybaum*, rodem z Warszawy, zamieszkały od kilkunastu lat w Chicago, w Ameryce północnej, przełożył komedje hrabiego Aleksandra Fredry (wszystkie 5 tomów) na języki angielski i niemiecki, dla tamtejszych teatrów. Wkrótce też, w teatrze Hooley'sa w Chicago ukaże się na scenie angielskiej pierwsza komedja „*Pan Jowialski.*“

*** Według spisu *programów dorocznych zakładów naukowych w Niemczech* na rok 1879 wydanego nakładem Teubnera w Lipsku dołączone będą następujące rozprawy naukowe rodaków naszych pod zaborem pruskim do sprawozdań gimnazjów:

W *Olsztynku:* prof. *Szeliński*, quaestiones Persianae.

W *Reszlu:* dr. *Chlebowski*, de Callimachi in Jovem hymno commentatio.

W *Wałczu:* dyr. *Lowiński*, über die Unechtheit des Platonischen Laches.

W *Wejherowie:* prof. *Jakowicki*, observationes in Thucydidis libri tertii capita 37—48.

W *Inowrocławiu:* dr. *Henrychowski*, de Jove Cretico.

W *Rogoźnie:* dr. *Tabulski*, Entwurf eines Lehrplans des mathem. Unterrichts nebst Bemerkungen über die Method desselben.

W *Pille:* dr. *Drygas*, Platons Erziehungstheorie.

W *Kłodzku:* prof. *Międzychodzki*, de translationis, quae metaphora vocatur, usu Aeschyles.

Pomiędzy wymienionemi rozprawami nie ma ani jednej w języku polskim, ani nawet traktującej o przedmiocie z dziedziny nauk polskich. Nowy to skutek systemu szkolnego ery falkowskiej w dzielnicy naszej pod zaborem pruskim.

Nekrologja.

† Dnia 27. marca w nocy zmarł w Turwi jenerał Dezydery Chłapowski. Urodzony w r. 1789 z Moszczeńskiej, syn starszy Chłapowskiego, wstąpił w r. 1807 do nowoutworzonej armji polskiej, z którą odbył kampanię moskiewską 1812 r. Napoleon mianował go oficerem ordynansowym, później został dowódcą szwadronu gwardji. Od r. 1813 mieszkał na wsi. W 1831 Chłopicki powierzył mu dowództwo pułku a następnie brygady. Odznaczył się w bitwie grochowskiej. Po bitwie ostrołęckiej udał się na Litwę i zebrawszy tam 5000 ludzi, połączył się z Giełgudem. Po chybionym ataku na Wilno, cofnęły się resztki korpusu litewskiego i wtedy ścigany przez Moskali schronił się Chłapowski do Prus, gdzie dłuższe przebył więzienie i znaczną zapłacił grzywnę. Ostatnie lata życia poświęcił gospodarstwu rolnemu i pisał wiele dzieł gospodarskich.

OFIARA PRZEKONANIA.

Urywek z kroniki kryminalnej.

W roku 1786 przeor opactwa w Epernay miał dobre przeczucie. Przewidując zbliżanie się burzy rewolucyjnej, zaoszczędził sobie pewną dość znaczną kwotę pieniędzy.

Skarb ten, ukryty w garnku pod pokładem gęsiego smalcu, odkrył Alfred, służący przeora, wśród umartwień pewnego dnia postnego.

Zdumiony cudowną przemianą smalcu w złoto, Alfred bez wielkiego namysłu zabrał znaleziony skarb i złożył go w własnem mieszkaniu. Po trzykroć zbłądził: raz, że ukradł, powtóre, że z kradzieży nie skorzystał, a po trzecie, że nie ukrył jej dobrze. Niebawem został aresztowany, oskarżony, osądzony na szubienicę i wyprawiony do Paryża, dla potwierdzenia wyroku.

W stolicy nie znaleziono nic do nadmienienia przeciw wymiarowi kary, i bezwłocznie, pod opieką urzędnika sądowego, wracał do Epernay, gdzie miała się odbyć egzekucja.

W drodze udało mu się zemknąć.

Sypiając we dnie a uciekając tylko pod osłoną nocy, nieszczęśliwy skazaniec, strasznie nieprzyjemnie się zdziwił, gdy z upływem czwartej doby, mniemając, że jest Bóg wie jak daleko, znalazł się właśnie w Eperney, na placu przed opactwem!

Miało świtać... Alfred postanowił ukryć się tam gdzie nie było prawdopodobieństwa aby go miano szukać.

Od dzieciństwa wychowanemu przy opactwie nie trudno było dostać się wewnątrz i wyszukać sobie kryjówkę, nikomu innemu nie znaną.

W chórze zakonnym śpiewano jutrznię. Alfred zakradł się do dzwonnicy i na wpół spruchniałemi schodkami, dotarł aż na sam szczyt, po nad sklepienia.

Tam od lat niepamiętnych ludzka noga nie postała. Mógł się uważać zupełnie bezpiecznym.

* * *

Jak Robinson Crusoe czyniący wycieczki do opuszczonego przez załogę okrętu, Alfred w trzechkrotnych wyprawach uskutecznionych szczęśliwie, zaopatrzył się w żywność, bieliznę, posłanie i inne przedmioty, jakie uznał za pożyteczne w swej pustelni, a których nie brakło w składach zamożnego opactwa.

Tak się urządziwszy, zawołał z wewnętrznem zadowoleniem:

— Teraz mogę tu sobie żyć spokojny i szczęśliwy aż do późnej starości.

Pierwszego zaraz dnia wyjrzał na świat przez okienko w dachu; na placu spostrzegł szubienicę, jakby wyciągającą ku niemu ramiona.

— Pfe! — pomyślał — wcale nieprzyjemny widok.

Rzeczywiście, była to brudna, obrzydliwa, ohydna szubienica; tak mu się przynajmniej wydawało, i nie mogło być inaczej, skoro deszcz padał, i ołowiane chmury zawisły nad miastem, a wiadomo, że w takiej porze nic się człowiekowi nie podoba.

— Raczej umrzeć, niż wisieć!—zawołał zniechęcony i odszedł od okienka.

Z początku wszystko szło jak najlepiej.

Uporządkował swoje mieszkanie, pozabijał kilka natrętnych robaków; jednem słowem zajmował się czem mógł.

Brak tylko ruchu dokuczał mu wiele; w ciągu dnia nie mógł się ruszać prawie, gdyż każde stąpnięcie głośnem echem rozlegało się po cieńkiem sklepieniu kościoła.

Na drugi dzień przyszły nudy; uczuł potrzebę rozrywki. Mimowolnie powrócił do okienka.

Czas się wyjaśnił; rusztowanie mniej mu się wstrętnem wydało.

— Patrzcie, państwo, — rzekł — zupełnie nowa szubienica! z prawdziwej dębiny.

Przyjrzał się dokładnie słupom, ścięciom skośnym podstawie i dodał:

— Ja pierwszy miałem na niej wisieć!

Następnie pomyślał o kilkunastu innych skazanych, ktorzyby po nim nastąpić mogli i którychby nazwisk nawet nikt nie zapamiętał. Tylko jedno jego imię utkwiło by w pamięci mieszkańców Epernay; on bowiem rozpoczął by nową erę, o nim by mówiono:

— Alfred pierwszy wisiał na tej szubienicy!

Bądź co bądź, zawsze to człowiekowi pochlebia.

— Nazwisko moje przejdzie do potomności!

Jeżeli w tej chwili nie pogodził się jeszcze zupełnie z szubienicą, przynajmniej mógł już na nią spokojnie patrzeć.

— Kiedys, po wielu latach — myślał — będzie można opuścić to schronienie.

Następnego dnia przypadała niedziela palmowa; Alfred obudził się pózno i bardzo chory. W skroniach mu biło jak młotem, wzrok miał zamglony, głowę, jakby rozsadzało coś z wewnątrz, wszystkie przypadłości strasznej choroby zwanej migreną.

Widząc, że ból wzmaga się z każdą chwilą, Alfred usiłował zbadać jego przyczynę. Zaraz też spostrzegł, że na dole, pod nim, odprawiano sumę, a dym kadzideł wznoszący się pod sklepienie wpadał w otwory i zapełnił całą jego kryjówkę.

Okropność! Alfred od najmłodszych lat czuł wstręt wrodzony do wszelkich kadzideł i perfum...

Zaczął przeto rozmyślać:

— Wielkanoc przypada tego roku w drugiej połowie kwietnia, niezadługo więc rozpocznie się Maj, miesiąc kwiatów, a z nim nabożeństwo majowe, zapachów i kadzideł nie będzie już miary! Cóż ja pocznę przez ten czas?

Dreszcze go przeszły na samą myśl niebezpieczeństwa sześciotygodniowej migreny, a pod tem wrażeniem szepnął mimowolnie:

— Utrzymują przecież, że śmierć na stryczku należy do najprzyjemniejszych!...

Nagle dziwny jakiś szmer przerwał jego rozmyślania. Wsłuchawszy się lepiej przekonał się, że to są głosy wiernych modlących się w kościele, które na obłokach kadzideł dążyły ku niebu, dla chwilowego tylko odpoczynku zastrzymując się po nad sklepieniem.

Alfred słuchał. To co usłyszał jednak, było tak niecne, tak nikczemne, tyle najgorszych myśli kryło się pod wyrazami modlitwy, iż wykrzyknął zgorszony:

— Otóż to są ludzie, którzy mnie chcieli powiesić!

Ogarnął go sprawiedliwy wstręt do całego rodzaju ludzkiego.

W tej chwili ujrzał wchodzącą do kościoła swoją narzeczoną.

— Ta jedna — dodał — jest dodrą i uczciwą dziewczyną!

Nadstawił ucha:

— Spraw o Panie! — modliła się narzeczona, — abym, gdy odszukają Alfreda, mogła być obecną przy ostatniej chwili jego...

— Ona cię kocha! — szepnęło mu serce.

— Bo — ciągnęło dziewczę — ludzie utrzymują, że stryczek wisielca przynosi szczęście w wyborze męża...

Z ostatniem rozwianem złudzeniem, z wściekłością w sercu, rzucił się ku okienku, aby świeżem odetchnąć powietrzem.

* * *

Wiosenne słońce świeciło wcałej okazałości. Oblana jasnemi promieniami, jego szubienica wyglądała zgrabna jak wyświeżona kokietka. Kilka wróbli świergotało wesoło kołysząc się swobodnie na świeżo wymydlonym powrozie.

Całe też rusztowanie podobnem było do eleganckiej huśtawki rozkosznie wzywającej w swoje objęcia amatorów nadpowietrznej jazdy.

Na stopniach rusztowania stał człowiek z oczyma nieruchomo utkwionemi w daleką przestrzeń, gdzie gościniec paryski wił się na horyzoncie jakby srebrna wstęga.

— Ten przynajmniej zajmuje się moim losem — pomyślał Alfred — nie jestem więc zupełnie osamotniony na świecie.

A potem dodał jeszcze:

— Kształcił się w Paryżu; z pewnością wyekspedjował by mnie w ciągu dziesięciu sekund najwyżej!

Wiadomo, że Paryż zawsze wywierał i wymierza znakomity urok na umysły mieszkańców prowincji.

Alfred raz jeszcze popieścił wzrokiem apatyczną szubienię, która zdawała się mówić do niego: „Niewdzięczniku!"

Był już prawe zdecydowany na krok stanowczy; poprzednio jednak zamierzył zbadać z zimną krwią, jakie to zwodnicze nadzieje szczęścia skłaniać go mogły do pozostania przy życiu.

Rodzina, sława, pieniądze, kobiety i dobra kuchnia.

Wszystko to czcze słowa, próżność, próżność!

Rodziny nie miał żadnej. Sława wydała mu się tylko pretekstem wymyślonym w celu niszczenia bezkarnie całych pokoleń, wychowywanych z takim trudem i kosztem. Nie mógł powstrzymać się od śmiechu, na myśl o tych szaleńcach, co dają sobie nogi i ręce obcinać, aby w zamian przypiąć sobie kawałek wstążeczki na piersiach.

Pieniądze widział w ręku zręcznych oszustów, ale rzadko gdzie znalazły się w posiadaniu uczciwych i pracowitych.

Zwracając się do płci pięknej przeszedł myślą wszystkie kobiety z Epernay, przystrajając je tylko własnemi każdej cnotami.

— Zimno! mróz! — wykrzyknął w odpowiedzi niewidzialny chór niewiast i wszystkie dostały kataru.

Jedzenie wreszcie, czyż warto jeść teraz, gdy wszystko, począwszy od mleka i chleba, a skończywszy na winie i pańskich przysmaczkach, fałszowane, na większy pożytek lekarzy i aptek.

— Nie ma co robić na tym świecie! — zawołał i zeszedł do połowy schodów.

Tu zatrzymał się aby po raz ostatni spojrzeć na niebo; maleńka biała chmurka na zachodzie wzbudzała obawę, że pod wieczór może deszcz padać.

Wrócił więc na górę, zdjął świąteczny swój ubiór i przywdział zwykłą codzienną kapotę.

Przybywszy na plac, szukał okiem jedynego swego przyjaciela i spostrzegł go oddalającego się w zamyśleniu.

Z braku zajęcia, i obarczony przytem liczną rodziną, biedny człowiek szedł zastawić złoty medalik, ostatnią pamiątkę po matce.

Przypadkiem obejrzał się i poznawszy Alfreda, podszedł ku niemu.

— Już prawie straciłem nadzieję—rzekł doń z przyjaźnym uśmiechem.

* * *

Wychodzono z kościoła. Alfred oburzył się w pierwszej chwili na ten tłum cisnący się z ciekawością około szubienicy.

— Widząc mnie na postronku—rzekł — wszyscy ci ludzie gotowi są uważać siebie za poczciwych.

Że jednak, bądź co bądź, tłum ten był publicznością, rozbudziła się ambicja w umyśle oskarzonego; nie chciał uchodzić za tchórza.

— Czy to bardzo rzecz ciężka? — zapytał swego przyjaciela.

— Można się oswoić z czasem.

Wstąpili na stopnie. Przyjaciel zrozumiał, iż wypadało mu grzecznością za grzeczność odpłacać i rzekł uprzejmie:

— Może pozwolisz kieliszek anyżówki?

— Nie, dziękuję ci — odparł Alfred — na całe dwa dni straciłbym apetyt.

W dziesięć sekund później, przyjaciel załatwił się z Alfredem; nie próżno kształcił się w Paryżu!

* * *

Czy modlitwa narzeczonej została wysłuchaną i czy pożądany stryczek dostał się w jej ręce, o tem kronika nie wspomina.

E. Chavette.

Treść Nr. 10.

Z drukarni Dziennika Polskiego.

Wydawca i odpowiedzialny Redaktor Mikołaj Biernacki.